

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 27 czerwca 1948 r.

Nr 26 (147)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

KAROL KAUTSKY

Przełożył K. Bl.

ŚWIĘTY SOCJALISTA

Tomasz More albo z łacińska Morus (1478—1535) — humanista, pisarz, i to doskonały, autor słynnej od wieków „Utopii”; wielki karciarz Anglii, ścięty z wyroku sądowego, właściwie zaś z rozkazu Henryka VIII, za nieuznawanie autorytetu tego despotycznego króla w rzeczach religijnych; z tej też racji męczennik i ofiarny święty katolicki, a przy tym wszystkim pierwszy nowożytny socjalista — niewątpliwie jedną z wybitniejszych postaci w dziejach kultury europejskiej, a już z pewnością jedną z najsympatyczniejszych. Jego biografia socjalistyczna, Karol Kautsky, pisze w przedmowie do swej książki o nim, że nie podobna zajmować się nim bliżej, aby go głęboko nie polubić. Z książki Kautsky'ego, która ukazała się wkrótce w przekładzie polskim w wydawnictwie „Książka”, podajemy kilka charakterystycznych dla More'a ustępów.

K. Bl.

Z LISTU ERAZMA Z ROTTERDAMU

OPROĆZ PISM samego More'a najważniejszym źródłem do wydania są listy jego przyjaciół do niego i o nim. Wśród listów tych jest jeden, najważniejszy i największe budzący zainteresowanie. Napisał go w roku 1519... Erazm z Rotterdamu do Ulryka von Huttena. List zawiera formalny opis życia More'a... przez najbliższego jego przyjaciela, który z nim lata całe razem mieszkał i razem działał... Brzmi on jak następuje:

„Jeśli nad wszelki wyraz uczone i lubie pisma Tomasza Morusa tak cię zachwycają, iż go kochasz — a nawet omal nie napisałem że jesteś na śmierć w nim zakochany, tedy wiedz, dostojny Huttenie, iż w tym względzie nie osamotniony, uczucia Twoje bowiem podziela wielu innych. A rozmiłowanie się Twoje w Morusie nie pozostaje też nieodwzajemnione, bo i on również takie znajduje upodobanie w pismach Twoich, że nieomal gotów-em Ci zazdrościć. ... Że mnie więc nagabujesz o to, abym Ci wizerunek Morusa naszkicował, mogę sobie jedynie życzyć, by zdolność moja do zadośćuczynienia prośbie Twojej równie była wielką, jak gwałtownie jest to pragnienie Twoje. ... Zaczniemy od opisu tej strony Morusa, z której znasz go najlepiej: jest niedużego wzrostu, choć nie rażąco mały, a jego członki tak są harmonijne, iż zgoda nie w tym względzie zarzucić mu nie można. Skórę ma białą, lecz na twarzy raczej jasny jest niż błądy, oraz z lekką różową, nie zaś jaskrawo czerwony. A włosy jego są kasztanowe z odzieniem barwy czarnej albo, jeżeli wolisz, to są raczej czarne, a odzieniu kasztanowaty mają. ... Brodę ma dosyć rzadką, oczy — niebiesko-szare, żaden rodzaj oczu nie ma pono być lepszą niż ten gwarancja wzroku.

Oblicze Morusa odpowiada jego charakterowi; maluje się na nim zawsze uśmiech i miła pogoda ducha i chętnie rozjaśnia się ono uśmiechem; prawdę mówiąc, ma on większą skłonność do wesołości niż do powagi albo dostojności, aczkolwiek od niemądrych żartów jest daleki. Prawe ramię, zwłaszcza gdy chodzi, ma nieco wyższe od lewego; nie od natury, lecz tak je oto z przyzwyczajenia trzyma, jak się to u naszej braci nieraz zdarza. ...

Wszystko, co się tyczy wyglądu i spraw cielesnych, Morus od samej młodości zaniedbywał i z reguły nie bardzo uprawiał to nawet, co zdaniem Owidiusza mężczyzna wyłączenie kulturować winien. ... Zdrowiem cieszy się dobrym, aczkolwiek nie jest ono aż tak znowu mocne; starczy do prac, które przystojują naszemu obywatelowi. ...

Nie znam nikogo, kto byłby mniej wybredny pod względem jedzenia. ... Chętnie

pija wodę... Ażeby jednakże nie psuć innym wesołej kompanii, ludzi współbiedniaków pić z cynowego kufła (stanęo poculo) lekkie piwo... nie chcąc pozoru dawać, jakoby miał wstęć do wina, i by dziwkami nie być...

Głos ma nie donośny, ale i nie słaby, łatwo dosłyszalny, ale bez zbytnich zmiekczeń i bez przeciągania. Do śpiewu, zdaje się, zdolności nie posiada, jakkolwiek wszelką muzykę bardzo lubi. Mówi wyraźnie, ani się spiesząc, ani ociągając. Ubiera się po prostu, nie nosi jedwabiu, ani



Tomasz More

purpury, ni złotych łańcuchów, chyba kiedy wymaga tego jego stanowisko. Zadziwiająco mało dba o te formy, które uważa się na ogół za grzeczne i przystojne, i ani wymaga ich od innych, ani sam się nie trzyma ich ściśle, ani na poważnych zebrań, ani na wesołych biśniadach towarzyskich; nie — ażeby ich był nieświadom, ale że ma to za rzecz kobiecą raczej i niegodną męża, aby czas na podobne niemądre sprawy tracił. Od dworu i przedstawiania z książętami trzymał się dawniej z dala, bo tyranie miał zawsze w szczególnym obrzydzeniu i nieczego bardziej nie lubił nad równość. ...

Jest zwoleńnikiem życia nieskrępowanego i miłośnikiem wczasów; lecz zupełnie tak samo jak chętnie oddawał się nie robieniu, kiedy mu się po temu zdarzała okazja, tak również nikt nie może prześcignąć go w zapale ani przewyższyć w wytrwałości, kiedy pracować trzeba.

Do przyjaźni zdaje się on być urodzony — jest wierny w niej i stały. Nie obawia się tego jej nadmiaru, tej „połofilii”, dla której tak mało dobrych słów znajduje Hezjod. ... W wyborze przyjaciół nie jest surowym pedantem. ... Gdy natrafi na kogoś, kogo nie może z jego wad poprawić, pozwala aby przyjaźń taka sama stopniowo wygasła, ale jej nigdy gwałtownie nie zrywa. A przestawianie z tymi, o których się przekonał, że odpowiadają jego sposobowi myślenia i że są mu wierni, uważa sobie za największą z możliwych przyjemności. Żywi on bowiem niechęć do gry w piłkę, w kości, w karty i do innych tym podobnych zabaw, za których pomocą dystygnowały motłoch (vulgus, procerum) zwykły czas zabijając. A tak jak się nie troszczy o korzyść dla siebie tak jest, przeciwnie, dbały o dobro przyjaciół. Słowem, jeśli kto szuka doskonałego wzoru prawdziwej przyjaźni, nie znajdzie przykładu lepszego niż Morus.

W towarzystwie bywa tak ożywiony i przyjemny, że nie masz nikogo dosyć zgry-

zliwego, by go nie rozweselił, a nie jest aż tak okropnie, by zdołało się opręć pogodnemu usposobieniu Morusa. Już jako mały chłopiec do tyła się lubował w zabawie i żartach, iż zdawać się mogło, że dla nich specjalnie przyszedł na świat; lecz żarty, które stroił nie przechodziły nigdy w błazeńskie psoty i nigdy nikogo nie raniły. Za młodych lat układał Morus i wystawiał małe komedijki. A pomysłów dowcipy tak lubi, iż podobają mu się one nawet wtedy, gdy są robione jego kosztem i przeinaczają prawdę o nim. Już więc jako młodzieniec pisywał epigramaty i lubował się Lucjanem. I mnie też on podmówił, abym napisał „Pochwałę głupstwa” (satyrę), tzn. bym durniów puścił w tany. I nie się stać nie może, czego by się nie starał wziąć od wesołej strony, nawet rzeczy najbardziej serio. Gdy ma do czynienia z ludźmi rozgarniętymi, uczonymi, to rozkoszuje się ich umysłowością; gdy znajdzie się w towarzystwie głupich i niewykształconych, głupota ich daje mu powód do śmiechu. Nie odstręcza go nigdy nawet największy cymbał, bo Morus zdumiewająco zreczenie umie się dostosowywać do usposobienia i umysłowości ludzi. Z niewiastami — i nawet ze swą własną żoną — nie on, jeno się bawi i żarty sobie stroi, iż mógłbyś go wziąć, łącznie za jakowegoś drugiego Demokryta, lub jeszcze lepiej za tego filozofa pitagorejskiego, który to nie nie robiąc waleś się bez troski po rynku i z uśmiechem patrzył i słuchał zgłupiał kupujących i wrzawy sprzedawców. Nikt nie daje tłumowi mniej niż Morus wpływać na swój sąd o rzeczach; a z drugiej strony jednak nikt nie jest przystępniejszy odeń i laskawszy.

Jedną z najulubieńszych jego przyjemności stanowi obserwowanie kształtów umysłu, działalności i uczuć zwierząt. Nie istnieje chyba taki gatunek ptaków, którego by on nie miał u siebie w domu. Gdy tylko zobaczy jakiegoś rzadsze zwierzę do nabycia, czy to małpę, czy lisa, łasicę leśną, kunę lub coś podobnego, zwłaszcza egzotycznego, spieszy je zaraz nabyć. Cały dom tym napelniał; gdziekolwiek w nim stąpić, znajdzie się coś takiego, co wzrok nasz zatrzymuje; a za każdym razem Morus dodaje się od nowa, ilekroć spostrzeże, iż to innych bawi. ...

Jako młodzieniec Morus bynajmniej nie unikał dziewcząt, lecz unikał powodów do oczerniania ich przez zły język i chętniej z tymi rozkoszał się parą, które go same chciały, aniżeli z tymi, które by dopiero zdobywać musiał, obcowanie płciowe nie miało dlań powabu jeśli nie było połączone z wzajemną podniętą duchową dla stron obu. ...

I tu Kautsky przerywa przekład listu Erazma z Rotterdamu następującym odnośnikiem:

Ponieważ nie znajdziemy już później sposobności, by do tej sprawy wracać, powiedzmy tu od razu, że More skromniem nie był ani trochę. Żarty sprośne, lecz dowcipne bawiły go ogromnie, i to nie tylko ukradkiem jak filistra moralizującego, ale wręcz otwarcie. Gdy samemu kiedy taki żart mu się udał, to go drukował nawet. Jeden z nich przytaczamy tutaj jako przyrządek do charakterystyki More'a:

Młodzieniec zaskoczył dziewczynę w samotności. Obejmuje ją tedy i błąga o miłość. Na próżno — dziewczę broni się przed nim rękami i nogami. Aż kiedy mu zabrakło wreszcie cierpliwości, wyciąga miecz i woła:

*) Spośród zwierząt More'a słynna stała się pewna małpa, uniesmiertelniona na obrazie Hansa Holbeina, gdy portretował rodzinną lorda kanclerza More'a.

Bezpośrednim celem dzisiejszej propagandy nie może być nic innego, jak dać się poznać ludowi, pozyskać jego zaufanie i miłość, na koniec zapewnić sobie jego współdziałanie na chwile potrzeby.

Seweryn Goszczyński

TREŚĆ NUMERU:

KAROL KAUTSKY —
ŚWIĘTY SOCJALISTAADOLF SOWIŃSKI —
O LIŚCIE PAPIESKIMPAWEŁ HERTZ —
Z LISTU DO KRYTYKISTANISŁAW SRENIOWSKI —
ROK 1848 I SPRAWA ZJEDNO-
CZENIA NIEMIEC (II)WITOLD LUKASZEWICZ —
KSIEŻA REWOLUCJONISCI
NA EMIGRACJIADAM WĄZYK —
DRAMAT RIMBAUDAJAN ARTUR RIMBAUD —
WIERSZE I POEMATY PROZĄJAN MUSZKOWSKI
DROGI UPOWSZECHNIENIA
KSIĄŻKIHENRYK MARKIEWICZ —
PRUS POD MIKROSKOPEMMIECZYSLAWA BUCZKÓWNA —
WIERSZE

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

KANPYD —
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK

NOTY

„Na ten miecz ci przysięgam, że gdy nie umilknieś, I nie będziesz leżała spokojnie — odejdziesz! Przerazone tą groźbą, dziewczę mu odpowiedziało: „No to niechże już będzie — rob; co chcesz; lecz proszę, Wiedz, że ja ustąpiłam jedynie przed siłą.”

Żart polega tutaj nie tyle na tym, co się mówi, ile jak się mówi. W tłumaczeniu więc traci. W oryginale poina brzmi jak następuje:

„Per tibi ego hunc ensem juro, simul et tui ensem, Commodo ni jaceas, ac taceas, ubi. Illico succumbit tam tristi terrore verbo: Atque age, sed quod agis, vi tamen, inquit, agis.”

Po czym list Erazma do Huttena tak brzmi dalej:

„Literatura klasyczna Morus wcześniej zaczął się zajmować. Już młodzieńszkiem studiował starożytne piśmiennictwo oraz filozofię grecką, a czynił to wbrew wyraźnej woli ojca swego, skądinąd dzielnego i rozsądnego człowieka, który cofnął mu jednak wszelką pomoc i nieomal byłby go się wyrzekł, bo wydawało mu się, iż syn nie pójdzie w ślady ojca swego, ten zaś był zawodowym uczonym, specjalistą od prawa angielskiego. Choć zawód ten jest prawdziwym wykształceniu całkowicie obcy, to jednak wśród Anglików wielce są szanowani i wysoko cenieni ci, którzy wyrobili sobie markę w tej dziedzinie i chyba też lepszej drogi w Anglii nie masz, ażeby dojść do sławy i majątku niżli biegłość i uczoność w prawie — niejednemu Anglikowi fach ten przyniósł szlachectwo nawet. I otóż w tej dziedzinie pono nie ma się nie znaczący, jeśli się nad nią nie pracowało przedtem długo i ciężko w pocie czoła. Morus jednak, mimo tego że był urodzony do czegoś lepszego i że czuł do zawodu prawnika słuszną niechęć, doszedł jednak do takiej w zawoździe tym biegłości, ledwo się doń zabrawszy, że procesowicze do nikogo się chętniej o pomoc nie zwracali jak właśnie do niego i że żaden z jego kolegów, którzy wyłącznie ten zawód uprawiali, nie miał przecież większych od niego dochodów. ...

Nie poprzestając na tym, wiele trudów poświęcał Morus również i na studia nad ojcami kościoła. Jeszcze jako młodzieniec przed licznymi audytorem miewał on wy-

klady o niektórych księgach dzieła Augustyna „De civitate Dei”, a wówczas nawet księży oraz ludzie starzy schodzili się słuchać, jak tajemnice wiary objaśniał młodzieniec, co żadnych nie miał święceń... Na drodze do życia kapłańskiego stanęło mu to jedno: że nie umiał żądy kobiet w sobie przemóc. Więc wolął zostać raczej niewinnym małżonkiem niż nieczystym księdzem...

Rzadko który mąż, srożąc się i rozkazując, cieszy się takim posłuchem u żony jak Morus działając dobrocią i żartami...

Z równą łagodnością jak żoną kieruje też Morus dziećmi i czeladzią: nie bywa tam żadnych tragedii, żadnych sprzeczek. Gdy się na spór zanosi, Morus tłumaczy go w żartku albo natychmiast rzecz załatwia. Jeszcze też nikt nie wyszedł od Morusa jego wrogiem. Zda się to być przeznaczeniem jego domu, ażeby szczęśliwość wokół szerzył. Jeszcze nikt w nim nie mieszkiał, by nie czuł się szczęśliwszy; jeszcze nikt tam nie ściągnął na siebie złej sławy.

Tylko niewielu tak się zgadzało z własną matką jak Morus z macochą; bo ojciec jego pojął drugą żonę, do której Morus niemniej się przywiązał jak do rodzicielki. Od niedawna zaś ojciec jego ma trzecią żonę i Morus na wszystkie świętości zapewnia, że jeszcze też nie widział lepszej niż ona niewiasty.

Rodziców, dzieci, siostry kocha on w taki sposób, że ani przesadą uczuć nie jest im uciążliwy, ani nie zaniedbuje żadnych względów nich obowiązujących.

Do brudnych zysków nie dąży. Z dochodów część odkłada dla dzieci, resztę zaś pełnymi wydaje rekoma...

W oczystym mieście swym, Londynie Morus pełnił czas pewien czynności sędzięgo do spraw cywilnych... Nikt nigdy nie załatwiał tylu skarg co Morus, nikt nie był odeń bardziej bezinteresowny: nawet należne mu opłaty sądowe częstokroć darowywał... A nikt go przy tym nigdy nie nakłonił, aby przyjął od kogo podarunek... Dzięki takiemu postępowaniu swemu Morus stał się najbardziej lubianym z obywateli swego miasta rodzinnego. Lecz postanowił nie iść wyżej i poprzestać na tym stanowisku, które zapewniało mu dość poważania, a na żadne większe niebezpieczeństwa go nie narażało. Po dwakroć posłował jednako pod naciskiem, a że się bardzo mądrze z misji swych wywiązał, tedy król, wzniosły Henryk tego imienia ósmy, nie spoczął w staraniach, dopóki meża tego na dwór swój nie ściągnął. Dlaczego nie mam użyć tutaj wyrazu „ściągnął”, skoro nikt jeszcze nie zadał sobie tyle trudu, aby się na dwór dostać, ile właśnie Morus, aby go uniknąć?...

Wyniosłości dwór w nim nie wyrobił ani śladu. W nawale spraw, które wciąż go zaprzętały, nie zapomniał on jednak o starych przyjaciółach ani nie zaniedbywał ulubionych studiów.

Im wyżej Morus wznosi się, tym więcej dobrego czynić może. Rzecz by można, iż jest on najwyższym w państwie obrońcą i opiekunem wszystkich biednych i uciskanych. Nikt chętniej od niego nie świadczy dobrodziejstw, nikt mniej wdzięczności za nie nie wymaga. A jakkolwiek bogato jest on obdarzony i tak bardzo sławny — z czym, jak wiadomo, chadza zwykle w parze samochwalstwo — to nikt od tej przywary nie jest od niego dalszy.

Ale teraz przechodzę do tych jego studiów, które nas obu wzajem tak sobie drogi uczyniły.

W młodości Morus parał się poezją, niebawem jednak przerzucił się do prozy i starał się, przez długą i uporczywą pracę styl swój udoskonalić i wywyciszyć się w pisaniu wszelkiego rodzaju utworów prozaicznych. Lecz po cóż miałbym Tobie styl jego opisywać, który wszak stale pisma Morusa masz pod ręką? Szczególnie chętnie pisywał on mowy oraz rozprawy i wykłady zwłaszcza o rzeczach niezwykłych, aby na tych tematach tym bardziej umysł ćwiczyć. Jeszcze jako młodzieniec pracował nad dialogiem, gdzie bronił komunizmu Platona i to nawet wraz z współnością kobiet. Napisał też odpowiedź na lucjanowego „Tyrannicide” i życzył sobie mnie mieć za przeciwnika w tej dysputacji, aby z próby takiej tym dokładniej się przekonać, czy w pisaniu tego rodzaju utworów istotnie poczynił postępy. „Utopię” napisał w zamiarze poznania, w czym leży przyczyna, że państwa w złym są stanie, zwłaszcza jednak miał przy tym na widoku Anglię, którą zbadał i znał gruntownie...

Umysł jego jest zawsze gotów do odpięrania zarzutów i stale podąża naprzód w pracy; pamięć ma wywieszoną, a że po niekąd wszystko jest w niej uporządkowane, więc szybko i bez zwłoki podsuwa mu ona, czego w danym przypadku stan rzeczy wymaga. W dyskusjach nikt nie jest od niego bieglejszy, tak że nieraz przyprowadza o zmieszanie nawet wybitnych

teologów, gdy zmagają się z nimi na własnym ich terenie.

Jan Colet, mąż znakomity i bystrym sądem obdarzony, zwykł był częstokroć mawiać w poufnych rozmowach, że Anglia posiada dziś tylko jednego geniusza, a jest nim Morus, podczas gdy na tej wyspie kwitnie przecież tyle wybornych umysłów.

Jest prawdziwie pobożny, natomiast przesady są mu obce. Ma swoje godziny, kiedy zanosi modły do Boga, co czyni nie z przyzwyczajenia, lecz z potrzeby serca. Z przyjaciółmi rozmawia o życiu przyszłym w sposób, z którego łatwo poznać, iż mówi z przekonania, pełen niepięknego nadziei. Takim jest Morus, który bawi właśnie na dworze królewskim, a tymczasem są ludzie, którzy sądzą, że dobrych chrześcijan można tylko po klasztorach znaleźć.

I na tym kończy Erazm swój opis pierwszego nowożytnego socjalisty.

MORE PRZECIWNIKIEM PANOWANIA KSIĘŻY

Już sam stosunek More'a do Pico della Mirandoli dowodzi, że More nie był pachołkiem księżym, jakiego by radzi zeń uczynić i katolicy i protestanci księży. Prawda że w młodości był on przez czas pewien w klasztorze kartuzów i nabożne ćwiczenia tam odbywał. Lecz co w klasztorze widział nie napeliło go zbyt dla mnichów respektom. Sam książę Stapleton (jego biograf — przyp. tl.) przyznać musi, że More porzucił zamiar zostania mnichem, bo „za jego czasów duchowni utracili u nas poprzednią swoją surowość obyczajów i entuzjazm pobożności”. More nie krył się wcale z sądem swym o księżach. Umiał on sztychować z mnichów nie gorzej od każdego innego humanisty.

Proszę posłuchać na przykład następującego ustępu z pierwszej księgi „Utopii”: Rafael Hythlodæus opisuje posiłek u kardynała Mortona, kiedy za stołem siedzi pewien dowcipniś zastępujący kardynałowi nadwornego błazna i pewien mnich z zakonu żebraczego. Zachodzi mowa o tym, co należy robić z żebrakami niezdolnymi do pracy wskutek starości albo innych przyczyn. Błazen, wypowiadając poglądy, że on żebrakom nigdy jałmużny nie daje: „dlatego też niczego się oni ode mnie nie spodziewają, ale to doprawdy tak niczego, jak gdybym ja był księdzem”. Chce on natomiast, aby wydano prawo nakazujące wpakowanie wszystkich żebraków do klasztoru Benedyktynów i zrobienie z nich bractwów świętych, z kobiet zaś radzi uczynić mniszki. Uśmiechnął się na to kardynał i żartem przyklasnął projektowi, inni zaś nawet serio. Pewien zaś brat teolog tak się ubawił tym żartem o księżach i mnichach, że i on, mąż zwykle surowy i pochmurny, żartować zaczął. „Nie — powiedział — żebraków się nie pozbedziesz, jeśli nie zatroszczysz się i dla nas o zaopatrzenie, dla mnichów, zakonu żebraczego”. — „Ty już zaopatrzony jesteś — odparł mu pasyż — bo sam kardynał znalazł już dla was właściwe przeznaczenie, oznajmiliśmy, że włóczęgów należy trzymać krótko i zmuszać do roboty. Przecież to wy jesteście największymi włóczęgami”. Klecha bardzo się na błazna za ten żart obraził. Zaczyna się tedy między nimi kłótnia, w której More każe księdzu okazać się tak głupim, iż ten wśród wybuchów śmiechu słuchających kłótni przegrywa sprawę... Aby położyć kres kompromitowaniu się księdza, kardynał zmienił temat. Na tym kończy się epizod, gdzie w niewielu słowach wystawiona zostaje na pośmiewisko głupota, lenistwo i sknerstwo mnichów.

Równie zabawny jest pewien wierszyk, który znajdujemy wśród łacińskich epigramatów More'a. Przytaczamy go tutaj w przekładzie, jakkolwiek nie bardzo to jest możliwe oddać go w kulaną prozie:

„Podniosła się burza, kołysał się okręt,
Żeglarze o życie się bali!
To grzechy — biadali — o, to nasze grzechy

Nieszczęście nam sprowadziły!
Na pokładzie przypadkiem i mnich się znajdował,

Więc wkrąg się doń cisną o spowiedź
I grzechy mu swoje kolejno wyznają
Z pokorą, a on ich rozgrzesza.
Lecz wciąż jak poprzednio kłębicie się

Żeglarze drżą ciągle o życie
Aż woła z nich jeden, od innych

„Toż okręt nasz musi wciąż dźwigać to samo.

*) W niektórych starych wydaniach dodany jest tutaj komentarz: „zwykle u żebraków powiedzenie”. Dowodzi to, jak barzo kościół już się wówczas sprzeniewierzył swojemu zadaniu wspierania ubogich.

Co przedtem win naszych i grzechów
złe brzemie,

Ktoreśmy na kłechę zwałili!
Wyrzucmy go przeto za burtę, a statek
Jak korek na falach zatańczy.”

Rzeczono, zrobiono: mnich tłumnie
ziapany,

Za burtę rzucony — i barka przed
wichrem

Leciutko, swobodnie pomyka.
A moral się z tego ten oto wywodzi,
Że grzechy ludzkie dużo ważą w życiu
łodzi.”

Co też mógł sobie myśleć pobożny Cresacre More czytając, jak ten jego „święty” pradziadek podrywał sobie ze spowiedzi i grzechów odpuszczenia?

Drwinki naszego „katolickiego męczennika” nie ograniczają się tylko do wyśmiewania niższego duchowieństwa; i do biskupów dobiera się on również. Zwłaszcza też jeden, którego nazywa Posthumusem, jest w epigramatach szczególnym celem jego żartów. W epigramacie „In Posthumum Episcopum” More wyraża swą radość, że to Posthumusa właśnie biskupem uczyniono, bo podczas gdy zazwyczaj mianuje się biskupów raczej na chybi-trafi, bez brania pod uwagę ich uzdolnień, tutaj jest rzeczą oczywistą, że tego biskupa wyszukano z niepospolitą starannością: pomiędzy tysiącami chyba nie można było znaleźć gorszego i głupszego...

Nawet i papież był w oczach More'a tylko zwykłym śmiertelnikiem. W 1510 r. Erazm napisał w domu More'a i z jego inicjatywy swą „Pochwałę głupstwa”; More wielką miał z niej uciechę i może nawet trochę w jej napisaniu uczestniczył; rękopis wykradł też Erazmowi jakiś jego przyjaciel — według wszelkiego prawdopodobieństwa sam More — i wysłał go do Paryża, gdzie w roku 1511 rzecz wydrukowano, a miała ona w ciągu kilku miesięcy siedem wydań. Była to niezwykle śmiała i zuchwała satyra na całe ówczesne społeczeństwo, zwłaszcza zaś na mnichów i papieżstwo. Trafiła więc na indeks ksiąg zakazanych. Mimo to jednak święty nasz męczennik nigdy nie żałował swego w niej udziału.

Nie potrzeba nam jednak takiego dowodu pośredniego, aby poznać stosunek More'a do papieżstwa. Mamy kilka jego sentencji z czasów po rozpoczęciu się ruchu reformacyjnego, kiedy walka przeciw protestantom już musiała już być uczynić z More'a bliższego sojusznika papieżstwa. Mimo to pisze on np. w swych „Wywodach ku odparciu odpowiedzi Tyndalla” (1532), że sobór powszechny stoi nad papieżem, że władny on jest papieża strącać i karać, a nawet, gdy ten się okaże niepoprawnym, to w końcu go usunąć (str. 621).

More daleki był od niewolniczej czei dla papieża i papieżstwa. Widział on w nim... środek do utrzymania spójni między narodami, bez której świat chrześcijański rozpadłby się i pograżył w chaos nieprzyjaznych jeden drugiemu narodów. More bronił jednak praw narodów poszczególnych zarówno jak i kościoła jako całości przeciwko papieżowi, który w jego oczach nie był niczym jak tylko usuwalnym prezydentem chrześcijaństwa.

TOLERANCJA RELIGIJNA MORE'A

Do jakiego stopnia myśli More'a niczym nie była w sprawach religijnych krepowana, widać to najlepiej z tej religii idealnej, którą nadał on swym Utopianom. Poznaliśmy ją już. Tu wspomniemy tylko o jeszcze jednym rysie charakterystycznym, którym More w sposób tak dla się korzystny odróżniał się i od katolików i od protestantów swej epoki, a który w równym mu stopniu posiadał zaledwie niewielu mu współczesnych: o tolerancji More'a w sprawach religijnych. Głosił on ją nie tylko przed reformacją w swej „Utopii”, ale i w samym wirze walk najzjadliwszych między protestantami a katolikami, gdy wszędzie dymiły stopy, na których palono „heretyków”. I nie tylko ją głosił, ale i uprawiał.

Stapleton uważa to za rzecz bardzo dziwną, iż ten jego katolicki święty przyjmował u siebie w domu luteranów.

Szymon Grynaeus, uczeń i zwolennik Melanchtona, przybył do Anglii, by zbierać materiały do przekładu neoplatonika greckiego Proklosa. More, który był wówczas kanclerzem, tak bardzo mu w tym pomagał, że Grynaeus poświęcił później przekład synowi More'a Janowi, bo nim ów przekład skończył, Tomasz More zginął jako męczennik za wiarę katolicką... W dedykacji tej czytamy: „Lagodne i delikatnie zwrócił mi uwagę, że moje poglądy religijne różnią się od jego w tym względzie zapatrywań, lecz że tego mógł być z góry się spodziewać. Więc mimo to nie przestał mną się opiekować... i własnym sumptem pokrył wszystkie wydat-

ki moje”. ...A stało się to więcej niż w dziesięć lat potem, jak Luter wojnę Rzymowi wydał.

W swej „Apologii” napisanej w 1533 r. po złożeniu urzędu kanclerskiego More powiada: „Z tych wszystkich, co byli mi dostarczeni jako kacerze, bez wyjątku żaden — tak mi Bóg dopomóż! — nie dostał ani jednego uderzenia, ani nawet szcztuka w nos... Nienawidzę błędów (heretyków), ale nie ich osób; błędy żyję sobie, aby wyteplono, osób — oszczędzano”.

Zacytujemy jeszcze jeden ustęp z owego dzieła More'a znamienity dla sposobu, w jaki ten traktował sprawy religijne: „Przejdźmy teraz do ostatniej wady, która mi bracia wytykają: że mianowicie do rzeczy najpoważniejszych nawet mieszałem dowcipy, żarty i wesołe anegdoty. Horacy powiada: Ridendum dicere verum (quid vetat). A komuś takiemu, kto jak ja jest tylko osobą świecką, bardziej chyba przystoi głosić poglądy swoje w sposób wesoły, niż poważnie i uroczyste wygłaszać kazania”.

More miał słuszną — karnodzieją w sensie nowożytnego katolicyzmu nie był zgola. Jakkolwiek stara się on często zachować powagę w swych pismach polemicznych, chochlik śmiechu raz po raz zakrada się do nich. Nie masz lektury zabawniejszej niż niektóre ustępy z jego „petycji biednych dusz” z roku 1529, będącej polemiką przeciwko ulotce „Petycja żebraków”; ulotkę ową rozpowszechniano z okazji pewnej procesji przeciwko Henrykowi VIII, wzywając go, aby celem dopomożenia bezrobotnym proletariuszom skasował fundacje i zakłady dobroczynne. Autor ulotki, Fisher, domagał się tam pomiędzy innymi, aby wygnano duchownych z klasztorów, aby zmuszono ich białem do pracy i kazano im się żenić, a w ten sposób powiększyć się i produkcję i ludność w kraju. More'a ten projekt serdecznie ubawił: „Pomyślcie tylko — wręczać królowi petycję, aby duchowieństwo złupić, ograbić, spętać, odcwiczyć i... ożenić! Jakże ten autor ma zdanie o małżeństwie, widać to stąd, że wymienia je jako ostatnie z owych nieszczęść; i zaiste, gdyby uważał je za rzecz dobrą, nie byłby go duchownym życzył”.

Po czym More zaczyna rozprawiać o czystości, w którym przebywające dusze nieboraczkę złe by na tym wyszły, gdyby pozostawiono zakłady dobroczynne, bo nie miałby kto za nie odprawiać paciery. A jakże to męki te biedaczki znosiły! Proszę sobie tylko pomyśleć, iż są one skasowane na przegładanie się tym wszystkim bzdurnym rzeczom, które dzieją się na świecie. Jakże się na nim przedko zapomnia o tym, kto już nie żyje! I taki np. małżonek musi przyglądać się z czystości, jak jego żona co przedzej wychodzi za mąż, jak dzieci wesoło bawią się i nikt więcej o ojców nie pamięta — zapomina się tu o nim tak przedko, jak o starym, znoszonym i wyrzuconym bucie. I ledwo czasem żona przypomina sobie o nim, gdy się pokłóci z drugim mężem...

W takim tonie utrzymane są „teologiczne” rozprawy More'a. Że pod koniec jego życia bywają one mniej wesołe, a niekiedy miewają nawet rysy ekstazy i fanatyzmu; że More mówi w nich rzeczy, które przeczą zasadom, które wypowiadał poprzednio np. w swej „Utopii” — tak, to prawda. Jak się dokonywały w nim te zmiany, dochodzenie tego należy raczej do dziedziny psychologii niż historii; że zaś duch tak płomienny jak More w gorące walki przebieższe czasem miare, że powie coś sprzecznego ze swym stanowiskiem; że More uweźmie się niekiedy na którego z adwersarzy w sporze i że miewa napady fanatyzmu; że wreszcie to, co w więzieniu na śmierć oczekując pisał, nosi charakter ekstazy — tym gorzej się nie może nikt z wyjątkiem chyba klechów z obozu przeciwnego. Pozostawiamy to księdom katolickim oraz protestantom, aby z takich pism More'a czerpali argumenty za nim lub przeciw niemu. Nas mogą one interesować co najwyżej z punktu widzenia patologii — my piszemy tu tylko o Morze socjalistcie, o Morze myśliciele. Teologiczna literatura More'a tłumaczy się nieomal samą przez się, gdy tylko zrozumiemy, dlaczego trzymał on z katolikami, nie z protestantami... Racje zaś, które kazały mu wystąpić przeciw protestantom, były natury nie dogmatycznej, ale politycznej i ekonomicznej.

ŚMIERĆ MORE'A

W listopadzie 1533 r. parlament powziął szereg uchwał czyniących króla głową kościoła anglikańskiego. Poza tym zaś zarządził, że pierwsze małżeństwo króla jest nieważne, drugie — ważne; pozabawił córkę Katarzynę dziedzictwa tronu i uznał prawną następczynią Henryka VIII Elżbietę, córkę Anny Boleyn. Sporządzono akt zaprzysiężenia obu powyższych orze-

czeń i przedłożono go przede wszystkim księdom londyńskim i westminsterskim, aby złożyli oświadczenie, przysięgę, a oprócz tego i Morowi. Ten przysięgi w całości odmówił, lecz oświadczył, że gotów jest tę część zaprzysięcia, która się odnosi do następstwa tronu. Aresztowano go i osadzono na zamku Tower, gdzie z górą rok przebył, żywiony nędźnie, pozbawiony książek, lecz niezłomny. Wszystkie wysiłki były tu nadaremne; można było złamać siły fizyczne More'a, ale nie duchowe — złożenia przysięgi odmawiał wciąż stanowczo.

I wtedy mu nareszcie wytoczono proces.

Parlament nie uchwalił zrazu żadnej kary za odmowę przysięgi. Chcąc brak ten uzupełnić, później już uchwalono, że jeśli kto złośliwie życzy sobie, chce lub ocze-

kuje, aby osoby króla, królowej lub ich spadkobierców utraciły godności swe i tytuły, to jest to zdrada stanu.

More zachowywał uporczywe milczenie co do przyczyn, dla których przysięgi odmawia. A milczenie nie było zdradą stanu. Nie wiedząc, co z tym począć, wynaleziono wreszcie pewnego nader swobodnego świadka, prokuratora Richa, który zeznał, iż More wyraził się do niego, że parlament nie ma prawa czynić króla głową kościoła.

Naprawdę More dowodził, jak niedorzeczna jest rzeczą przypuszczać, aby on człowiekowi, którego znał od dawna jako szuję i nieponia, mógł się zwierzać z rzeczy, o których nigdy nie nikomu innemu nie mówił. Naprawdę inni świadkowie, którzy byli przy rozmowie Richa z Morem na zamku Tower, zeznawali, że nie podob-

nego nie słyszeli. Przysięgli byli wari owego świadka Richa. Uznali More'a winnym nawet nie przeczytawszy akt sprawy. A wyrok opiewał: „Ma być odprowadzony z powrotem na zamek... stamtąd wleczony przez miasto Londyn do Tyburnu, tam powieszony aż się na wpół udusi, potem odcięty, póki jeszcze będzie żywy; części rodne ma mieć wyrzeżane, brzuch rozpruty, wnętrzności wycięte i spalone. Następnie ma być poćwiartowany i cztery jego części zatknięte na czterech bramach City, głowa zaś na moście londyńskim”.

Król ulaskawił More'a rozkazując po prostu go tylko ścinać. Dowiedziawszy się o tym More zawołał: „Niechże Bóg strzeże mych przyjaciół od podobnej łaski!”

Humor w ogóle nie opuścił go do końca. Ostatnie słowa, które wypowiedział, były żartem.

Dnia 6 lipca 1535 r. ścięto More'a na zamku Tower. Szafot sklecony był niedbale i chwiały się, gdy More nań wstępował. Odezwał się przeto wesoło do towarzyszącego mu porucznika z zamku: „Proszę, niech mi pan wejść pomoże. Z zejściem już sobie sam dam radę”. Usiłował następnie przemówić do ludu, ale nie pozwolono na to. „Tedy pomodliwszy się — opowiada Roper (źródło More'a — przyp. t.) — zwrócił się More do kata i powiedział do niego z wesołym obliczem: „Śmiało człowieku, śmiało! Nie bój się obowiązków swojego urzędu. Ja mam, jak widzisz, krótką szyję; więc mierz uważnie, żebyś nie okrył się wstydem”.

Tak umarł pierwszy z wielkich komunistycznych utopistów.

Karol Kautsky

ADOLF SOWIŃSKI

O LIŚCIE PAPIESKIM

LIST PASTERSKI papieża Piusa XII do biskupów niemieckich wywołał w całej Polsce głębokie oburzenie wśród wszystkich ludzi dobrej woli. Nawet koła najbardziej katolickie zostały nim zaskoczony i zdumione. I nawet koła najbardziej katolickie w Polsce nie usiłują bronić merytorycznie samego listu, skierowując swe wysiłki raczej ku obrońce papieża i papiestwa w ogóle. Bo sam list ani merytorycznie ani w swej zasadniczej koncepcji moralnej nie da się obronić wobec nikogo z Polaków.

Pomimo pewnych okoliczności w rozumowaniu, temu właśnie stanowisku daje wyraz „Tygodnik Powszechny”, organ Kurii Xlażęco Metropolitarnej Krakowskiej. Pochwalmy tu odwagę ze strony ludzi, którzy dopuścili do głosu świadomość, że pierwsi urodzili się Polakami, zanim zostali księżmi i podporządkowali się swej hierarchii duchownej. Pochwalmy trzeźwą świadomość, że subordynacja polityczna wobec autorytetu religijnego, który uległ wrogoj dla nas propagandzie, równałaby się przysłówiowemu podcinaniu korzenia własnego istnienia.

Autorytet religijny wystąpił z głębokim współczuciem w obronie zbrodniarza, który nareszcie znalazł się pod kluczem, aby nie mógł nadal szkodzić ludziom spokojnym i uczciwym. Autorytet religijny nie tylko że nie poświęca przy tym ani jednego wyrazu współczucia ofiarom zbrodni, ale — wręcz odwrotnie — obwinia ofiary o dokonanie, gwałtu na zbrodniarzu, jak gdyby pomieszały się kategorie moralne pod jakąś wieżą Babel współczesnej etyki. Czyż więc nie należy zbrodniarza zamykać w więzieniu? Dowód prawdy został przeprowadzony, wyrok zapadł, a zbrodniarz może już sam umilić sobie więzienie. Dostał zresztą więzienie najhumanitarniejsze pod słońcem: ma bogatą ziemię z lasami i jeziorami, z miastami, fabrykami i kopalniami. Niechaj tylko dobrze pracuje, a wyżywi się doskonale. My żywić go nie będziemy. Mamy dość swoich kłopotów przy odbudowie tego, co zbrodniarz nam zniszczył. Autorytet religijny niepotrzebnie wdał się tu w politykę, i to w politykę niewłaściwą, bo stał na stronie zbrodniarza przeciw ofiarom. To też nic dziwnego, że otrzymał odpowiedź na płaszczyźnie polityki, a nie religii, bo samej religijnej i charytatywnej akcji wśród zbrodniarzy nikt absolutnie nie ma zamiaru przeszkadzać. Nie należy tylko z pojęć moralnych czynić nożytną wieżę Babel. Za dużo „heutzu-gege” rozumiemy języków. Rozumiemy również po niemiecku.

„Wysiedlanie Niemców z Polski — czytamy w Nr. 23 „Tygodnika Powszechnego” w odważnym komentarzu redakcyjnym do listu papieskiego — nie było „beprzykładowym” wydarzeniem, ani historycznym, ani etycznym. Przesiedlanie grup ludności stosowane było już po pierwszej wojnie światowej, zaś masowego i przymusowego przesiedlania ludności nauczył Europe Hitler, na którego rozkaz miliony ludności polskiej (Śląsk, Poznańskie, Pomorze, Łódź, Łódzkie, Zamojskie) odbierano całą własność, rodziny wyrzucano w przeciagu godzin z gospodarstw, ładowano do wagonów kolejowych, nieopalanymi w zimie, pędzono do obcych okolic lub do fabryk w „Reichu”, a tysiące dzieci skazywano na śmierć w dusznych lub mroźnych wagonach”. Ale czy musimy szczególnie cytować i omawiać rzeczy znane

każdemu Polakowi? Czy musimy uzasadniać konieczność wysiedlania Niemców z Ziemi Odzyskanych? Czy musimy wreszcie podkreślać, że między niemieckim a naszym sposobem wysiedlania istnieje taka różnica, jak między znowu przyszłowiowym piekłem a niebem? Mówimy o tym jedynie dlatego, aby podkreślić głos rozsądnej samoobrony sfer katolickich w Polsce przeciw pomieszanemu pojęć moralnych w odniesieniu do historii naszych czasów.

„Na szczególne uwzględnienie — czytamy bowiem w liście papieskim — będą zawsze zasługiwali uchodźcy ze wschodu, którzy przymusowo i bez odszkodowania wysiedleni zostali ze swojej ojczyzny i przesiedleni na niemieckie obszary stradowe.”

Gdy mówimy o nich, to interesuje nas przy tym nie tyle prawna, gospodarcza i polityczna strona tego bezprzykładnego w historii Europy postępowania. Tę stronę osadzi historia. Oczywiście obawiamy się, że wyrok jej będzie surowy. Czy było jednak rzeczą dozwoloną wypędzić w formie odwetu z domu i ojczyzny 12 milionów ludzi i skazać ich na nędzę? Czyż ofiary tego odwetu nie są w swej przytłaczającej większości ludźmi, którzy nie brali udziału w wyżej wspomnianych wydarzeniach i przestępstwach, którzy nie mieli na nie wpływu? I czy postępowanie to było politycznie i gospodarczo uzasad-

PAWEŁ HERTZ

Z listu do krytyka

Rzadko, zbyt rzadko zwraca się uwagę na podwójne znaczenie przedmiotów martwych w utworach literackich. Stanowią one jakgdyby spokojne tło czynności i spraw ludzkich. A przecież mają swoje przeznaczenie szczególne: mówią czasem więcej niż dane jest powiedzieć bohaterom książek.

Srebrny ołówek pani Chauchat w „Czarodziejskiej górze” Tomasza Manna odgrywa zbawiającą rolę pośrednika między dzieciństwem i dojrzałością Hansa Castorpa.

Castorp wspomina wczesną miłość szkolną i kolegę, który był wówczas przedmiotem jego chłopcowskiej adoracji, jakiej często wszyscy ulegamy w dzieciństwie. (Przypomnij sobie małego Sieriożę Iwina z tolstojewskiego „Dzieciństwa”). Castorp raz tylko odważył się przemówić do Przybysława Hippe (tak bowiem ów kolega się nazywał), prosząc go o ołówek i prośbę tej stało się zadość.

— Tylko go nie zepsuj! — prosi Castorpa kolega.

Hans Castorp, jak wiemy, nie zepsuł ołówka. Zatemperował go tylko ostroż-

*) Z tomu „Notatnik obserwatora”, który ukazał się nakładem księgarni W. Baka.

nione, jeżeli pomyśli się o koniecznościach życiowych*) ludu niemieckiego, a szerzej ponadto o zapewnieniu dobrobytu całej Europy? Czyż jest to może nierealne, jeżeli My życzymy sobie i wyrażamy nadzieję, że wszyscy zainteresowani mogliby spokojnie rozpatrzyć to, co zostało dokonane i cofnąć w tej mierze, w jakiej da się to jeszcze cofnąć?”

Takie słowa nadawałyby się może do „humanitarnej” dyskusji w zamkniętym kole jakichś wymaganych klerków na Nowej Zelandii, którym wojna nie dotknęła nawet bibelotów na biurku. W Polsce trafiają tylko na oburzenie. Jeżeli byśmy bowiem najprostszemu człowiekowi w Polsce z jakichkolwiek kół światopoglądowych przeczytali te słowa, nie sugerując niczego osobą ich autora, każdy uznałby je za zwykłą propagandę proniemiecką. Dopiero autorytet religijny, który je wypowiedział, nadaje sprawie szkodliwe pozory.

„Będziemy — mówi słusznie „Tygodnik Powszechny” — z pewnością zgodni z całą opinią katolicką w Polsce, z naszym Episkopatem na czele, gdy oświadczymy, że Ziemię Odzyskaną uważamy za ziemie nasze, które po wiekach rozłąki wróciły do Macierzy i na tej podstawie opieramy nasze prawa do nich. Ziemię tę przed bli-

*) Czyż w słowie „Lebensnotwendigkeit” nie za bardzo pobrzmiewa słowo „Lebensraum”? (przyp. aut.).

nie i zmiotł pieczętowiec ostróżyny, zachowując je na pamiątkę, rozmowy. Tyle zostało z dzieciństwa i z przyjaźni.

Kiedy Hans Castorp pożycza ołówek od pani Chauchat wówczas jest świadomy już nie tylko podobieństwa okoliczności, ale nawet podobieństwa rysów obu przedmiotów swojej adoracji. Co mówi pani Chauchat, pożyczając mu mały, srebrny ołówek?

— Tylko go nie zepsuj! — prosi pani Chauchat. Castorpa.

Niedawno mój przyjaciel, krytyk z wodu, twierdził, że to sprawa mistyczna i ganił Tomasza Manna za niewspółczesne odstępstwo od racjonalizmu. „Kto wie — zastanawiał się mój przyjaciel — czy nie należy skreślić „Czarodziejskiej Góry” z listy książek odpowiednich dla naszego czasu”. I na wszelki wypadek wyjął mały, srebrny ołówek, by sobie tę cenną myśl zapisać. Wówczas postanowiłem go przekonać, że nie ma racji i poprosiłem, by mi pożyczył ołówek. Zawahał się, potem wyciągnął rękę, podał mi ołówek i powiedział:

— Tylko go nie zepsuj! —

ską tysiącem lat były zasiedlone przez naszych przodków lub słowiańskich pobratymców... Niemcy w swoim brutalnym „Drang nach Osten” zaganiłi je systematycznie przez przeciąg paru wieków, wynaradawiając lub tępiąc bezlitośnie żywioł słowiański i narzucając ludności protestantyzm. Z tego względu przyłączenie Ziemi Odzyskanych do Polski nie uważamy ani za akt zemsty w stosunku do Niemców, ani za wojenne odszkodowanie, lecz za naprawienie wiekowych krzywd narodu polskiego.”

Nie warto zajmować się prostowaniem nieścisłości listu papieskiego, nieścisłości tak wielkich, jak utrzymywanie, że z Polski wysiedlono 12 milionów Niemców, podczas gdy w rzeczywistości wysiedlono ich tylko 2 i pół miliona. Uczynił to zresztą już przed nami „Tygodnik Powszechny”, przyznając lojalnie acz zbyt ostrożnie, że Ojciec Św. był dotąd o sprawach Polski jednostronnie informowany. Nie warto przeprowadzać analogii między Piusem XII a Grzegorzem XVI, który wydał słynną encyklikę, potępiającą Powstanie Listopadowe. Nie warto przytaczać odnośnej sceny z „Kordiana”, bo w tej sprawie, z którą obecnie mamy do czynienia, nie potrzeba żadnych dodatkowych argumentów. Należy tylko życzyć sferom katolickim w Polsce, aby nadal nie poddawały się sugestiom „żelaznej kurtyny”, dzielącej Europę na dwie części: sprzyjającą i niesprzyjającą prosperowaniu chrześcijaństwa, bo kto wie, czy nie taki właśnie jest najgłębszy sens listu papieskiego. Układ sił w Europie i sytuacja geograficzna Polski umożliwiają istnienie prężnego gospodarczo i politycznie państwa polskiego jedynie w jego obecnych granicach. Z układu sił w Europie wynika słuszność naszej koncepcji politycznej i ideologicznej. W ramach państwa polskiego katolicyzm cieszy się pełnymi swobodami a nawet posiada szereg przywilejów, chociaż jest rzeczą najsluszniejszą pod słońcem, że nie korzysta z przywilejów specjalnych, które posiadał tu i ówdzie w czasach historycznie przezwyciężonych. Takie jest stanowisko ludzi dobrej woli, skłonnych docenić dziejową rolę chrześcijaństwa. Ale z chwilą, gdy religia podejmuje działalność polityczną, może spotkać się jedynie z ofensywą polityczną. Wszelkie próby dosłuszuwania katolicyzmowi polskiego do obecnej koncepcji politycznej byłyby programem samobójstwa, bo próby takie godziłyby w byt państwowo-narodu na danym etapie historycznym. Poręczymy iluzję ogólnoeuropejskiej słuszności idei politycznych Stolicy Apostolskiej. Było tych idei w historii tak wiele, a tak rzadko liczyły się z naszymi „koniecznościami żywymi”. Nasze sprawy dokonują się w Warszawie, a nie w Rzymie.

Jeżeli ponadto prasa katolicka pisze, że błędne informacje papieża o Polsce są naszą własną winą, są bowiem skutkiem braku dyplomatycznego przedstawicielstwa Watykanu w Warszawie, to tego rodzaju twierdzenie należy uznać za zwykły wybieg sytuacyjny. Każdy biskup polski jest na naszym ziemiach ambasadorem papieża: pozostaje z nim w stałym kontakcie. Niechże więc dopełnia swych obowiązków nie tylko wobec papieża, ale i wobec własnego narodu. W przeciwnym bowiem razie łatwo go uznać za ambasadora piątej kolumny.

Adolf Sowiński

JAN KOTT

O „L A L C E”
BOLESŁAWA PRUSA

sir. 106
Cena zł 180

SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. „KSIĄŻKA”

STANISŁAW SRENIOWSKI

Rok 1848 i sprawa zjednoczenia Niemiec (II)

6.

Zgromadzenie narodowe zebrało się we Frankfurcie 18.V. Obrady odbywały się w kościele św. Pawła. W sprawie ustanowienia centralnej władzy wykonawczej wysunęto kilka projektów. Myślano o dyktatorstwie trzysobowym, którego skład proponowałyby rządy, a zatwierdzało Zgromadzenie; republikańską lewicą pragnęła, aby Zgromadzenie ustanowiło wydział wykonawczy, jako najwyższą władzę; większość przyjęła projekt urzędu Naczelnika z któregoś z niemieckich rodów książęcych, ale powołanego przez Zgromadzenie. W ten sposób utworzono ministerium ogólnoniemieckie z prezydentem posiadającym tytuł *der Reichsverweser* na czele. Obrano na to stanowisko arcyksięcia Jana austriackiego, a sejm związkowy zaakceptował ten wybór w formie oświadczenia, że rządy państw związkowych już uprzednio zgodziły się na osobę arcyks. Jana Arcyks. Jan objął nowe stanowisko przyjmując formalnie władzę zarówno od zgromadzenia narodowego jak i od sejmów związkowych, który uznał swoją działalność za zakończoną. W ten sposób organizacja związku niemieckiego, utworzonego w 1815 r. przestała istnieć.

Przekształcenie Związku niemieckiego dokonywało się wtedy jako kombinowana akcja społeczeństwa niemieckiego, pewnych jego warstw i ich reprezentantów oraz rządów państw związkowych. Inicjatywa była z reguły po stronie społecznej, organy władzy wychodziły naprzeciw z aprobatą; z sankcją prawną i z realizacją. Inicjatywa była każdym razem tego rodzaju, że mogła liczyć na tę sankcję; stroną silniejszą w tej grze o zjednoczenie i konstytucję musiały być — wbrew pozorom — rządy. One ustępowały — ale droga zjednoczenia nie groziła jeszcze strukturalnie społecznej, na straży której one stały. Wobec istotnego niebezpieczeństwa — miały zachować się zupełnie inaczej.

Z chwilą rozwiązania związku postawa rządów państw niemieckich wobec dalszej działalności zgromadzenia narodowego i wobec prowizorycznej centralnej władzy stawała się problematyczna. Jakkolwiek przemiany nastąpiły za ich oficjalną zgodą, nie przesądzały to dalszych etapów polityki, praktycznych rezultatów zmian. W grudniu 1848 r. uchwaliło Zgromadzenie ustawę o prawach zasadniczych państw niemieckich, do których rządy krajów miały bezzwłocznie dostosować ustawodawstwo krajowe. Zgromadzenie narodowe uważało się w tym zakresie za władzę suwerenną, prawa zasadnicze nie miały zaś bezpośredniej mocy, przedstawiały jedynie zasady dla ustaw, a ustawy te pozostawały w kompetencji krajów. *Der Reichsverweser* ogłosił te zasady.

Inaczej z konstytucją Rzeszy. Projekt konstytucji został przedstawiony przez zgromadzenie narodowe rządowi poszczególnych państw niemieckich; zhamiennie, że zastrzeżenia z tej strony nie były zbyt istotne i łatwo uzgodniono różnice.

W zgromadzeniu narodowym ścierały się dwie partie. Wielkoniemiecka z programem zjednoczenia wszystkich krajów niemieckich, a więc i niemieckich krajów austriackich, zamieszkałych przez 1/3 ogółu Niemców. Program ten popierali posłowie austriaccy, ultramontanie i skrajna lewica. Każde z tych ugrupowań z innych oczywiście powodów. Sympatie austriackie były w zgromadzeniu bardzo silne, ich wyrazem był wybór arcyks. Jana na stanowisko naczelnika, wybór stanowiący zarazem przegrana republikańskiej lewicy. Ale z programem wielkoniemieckim w jaskrawej sprzeczności pozostawał oficjalny kurs polityki cesarstwa austriackiego. Deklaracja rządowa Schwarzenberga z listopada 1848 mówiła o ścisłym zjednoczeniu wszystkich prowincji Austrii, a realizowała ten program okrojona konstytucja austriacka z marca 1849. Koncepcja wielkoniemiecka prowadziła zaś przeciwnie do podziału krajów austriackich — na niemieckie mające wejść w obręb Rzeszy, i pozostałe, nie niemieckie. Reakcyjny kurs rządowy austriacki, ostry tłumienie rewolucji stwarzało dalszą przeszkodę do realizacji koncepcji wielkoniemieckich.

Schwarzenberg wysunął projekt organizacji Niemiec, który właściwie nawracał do form dawnego związku. Proponował dyktatorstwo nad państwami i rząd naczelnika pełniący naprzemiennie przez Austrię i Prusy — z roczną kadencją. Parlament niemiecki miałby się składać z przedstawicieli sejmów krajowych, i całe cesarstwo habsburskie wraz z krajami nieniemieckimi wchodziłoby w skład projektowanej Rzeszy.

Partia małoniemiecka, zwana też partią dziedzicznocesarzką, grupując się pod hasłem spójnej organizacji państwowej

Niemiec z dziedzicznym cesarzem na czele (wedle wzoru habsburskiego!), rezygnowała z włączenia w tę organizację Austrii, kraju idącego ku innemu zjednoczeniu — nie niemieckiemu, habsburskiemu, i sprawę silnej centralnej władzy w Niemczech wiązała z pruskim kierownictwem Rzeszy. Program polityczny tej partii złożonej z ugrupowań od skrajnej prawicy począwszy aż po lewicę formowały grupy liberalnego prawego centrum, tzw. partia profesorów reprezentująca naukowe sformułowanie interesów wielkiej burżuazji. Stąd idea tworzenia państwa na obszarze zaawansowanego społeczeństwa i gospodarczo, a wykluczenia feudalnej jeszcze Austrii, idea ściślejszej jedności, spajającego nacjonalizmu.

Austria przedstawiała dla tego zespołu partii formację reakcyjną, Prusy — choć również monarchiczne, autokratyczne jeszcze i wielkoziemiańskie, formacją mogącą iść w przednim szeregu zmian ku czasom potężnych, wielkokapitalistycznych Niemiec.

W marcu 1849 r. zgromadzenie narodowe uchwaliło większością 267 głosów przeciwko 263 konstytucję Rzeszy niemieckiej dostosowaną do aktualnej sytuacji. Została ona ogłoszona w Dzienniku Praw Rzeszy mimo, że nie uzyskała podpisu *des Reichsverwesers*. Z terytorium dotychczasowego związku państw niemieckich powstawało państwo związkowe z dziedzicznym cesarzem Niemców na czele. Sejm Rzeszy składał się z dwu izb: izba państw, w połowie z przedstawicieli rządów, w połowie z posłów poszczególnych sejmów krajowych, izba narodowa — z posłów wybranych bezpośrednio przez naród. Cesarzowi przynależało prawo weta wobec postanowień sejmów — weta zawieszającego tylko; koncesja na rzecz radykalnej lewicy nie godzącej się na veto absolutne.

28. III. został wybrany cesarzem Niemiec 290. głosami przy 248 wstrzymujących się król pruski Fryderyk Wilhelm IV. Prawicowe ugrupowanie posłów złożyło przy tym deklarację, że głosując za dziedzicznym cesarstwem pruskim uważa, iż sprawa nowego ustroju i korony cesarskiej nie może być załatwiona jednostronnie przez zgromadzenie narodowe i że należy ona ostatecznie od zgody rządów państw niemieckich. Podobne stanowisko zajął i król pruski. Nota rządu pruskiego do wszystkich dworów niemieckich stwierdzała zaś, że król pruski obejmie kierownictwo państwa związkowego tylko złożonego z państw, które dobrowolnie przystąpią do takiego związku.

14. IV. wszystkie państwa niemieckie — z wyjątkiem królestw i oczywiście Austrii, złożyły oświadczenie, że przyjmują nowy ustrój Niemiec, niedługo potem i królestwo wirtemburskie. Król pruski wszczął pertraktacje z członkami osobistymi rządu Rzeszy, co do zmiany niektórych szczegółów nowego ustroju i otrzymał zapewnienie, że jeśli przyjmie ofiarowaną mu godność cesarską może liczyć na rewizję konstytucji w duchu konserwatywnym.

28. IV. król pruski odmówił przyjęcia wyboru na cesarza i uznania konstytucji frankfurckiej. Rząd pruski wskazywał przy tym, że z charakterem monarchii pruskiej nie da się pogodzić ani zasada praw wyborczych — powszechnych, równych, tajnych, ani zasada weta monarszego zawieszającego tylko decyzje parlamentu Rzeszy. Wyrażano nadzieję, że zgromadzenie narodowe zechce dokonać odpowiednich zmian w konstytucji, a tymczasem skierowano do dworów niemieckich, które by chciały prowadzić rozmowy na temat ustroju Niemiec zaproszenie na konferencję do Berlina.

Rząd pruski odwołał z Frankfurtu posłów pruskich, niektóre inne państwa uczyniły to samo. Kadłubowy parlament — o radykalnej już teraz większości — postanowił większością 71 głosów przeciwko 64 przenieść swą siedzibę z Frankfurtu do Stuttgartu, zniósł rząd *des Reichsverwesers*, ustanawiając w jego miejsce kilkuosobową regencję. W dwa tygodnie później (18.VI.) rząd wirtemburski zakazał dalszych zebrań.

7.

Tymczasem już w maju zawarte zostało porozumienie trzech królestw, Prus, Saksonii i Hanoweru co do utworzenia państwa związkowego pod nazwą *Deutsches Reich* złożonego z wszystkich państw niemieckich z wyjątkiem Austrii, z którą miało być zawarte odrębne, luźniejsze porozumienie. Projekt ustroju tego państwa odbiegał od organizacji ustalonej we Frankfurcie, pomniejszając znaczenie parlamentu, a zapewniając znaczną samodzielność państwom związkowym. Na cze-

le Rzeszy miał stanąć król Prus z tytułem naczelnika Rzeszy i kolegium książąt. Do porozumienia tego przystąpiła większość państw niemieckich; nazwę Rzeszy zastąpiło nazwą Unii Niemieckiej. Projekt ten zyskał sympatie w kręgach byłej frankfurckiej partii małoniemieckiej, deklaracja w Gotha stukilkudziesięciu b. posłów z tej partii dawała wyraz narodowym uczuciom liberałów niemieckich w tej sprawie.

Zwołano do Erfurtu parlament wybrany na zasadzie reakcyjnego, trójklasowego systemu wyborczego, a przy absencji partii demokratycznej, złożony w połowie z przedstawicieli Prus, zatwierdził Unię; mimo to nie weszła ona w życie.

Inna koncepcja zjednoczenia Niemiec wyszła od czterech królestw środkowoniemieckich, Bawarii, Wirtembergii, Hanoweru i Saksonii — zjednoczenia wielkoniemieckiego — kongresowego — z Prusami i Austrią. Austria chciała jednak wejść do związku z wszystkimi krajami swoimi, nieniemieckimi, i żądała przyjęcia ich także do niemieckiego związku celnego. Ale to stało w sprzeczności z istotą zjednoczenia narodowego Niemiec, mającego chronić młody kapitalizm niemiecki i odgradzać go od struktur zarówno bardziej jak i mniej zaawansowanych ekonomicznie.

Sytuacja była szczególna: przyszłość należała do państw rozwijającego się szybko uprzemysłowienia, atrakcyjność hasła narodowych stanowiący wykładnik zmian, ku którym zmierzała struktura krajów niemieckich — ale ustrój polityczny tych krajów był jeszcze bardzo feudalny i tylko feudalny typ powiązania państw niemieckich w jakąś całość mógł stanowić polityczną rzeczywistość tych lat.

Austria, kraj jeszcze bliski feudalizmowi gospodarczemu, twierdząc reakcją — zaprosiła z tytułu dawniejszego przodownictwa w związku niemieckim w 1850 r. wszystkie rządy niemieckie do Frankfurtu celem odnowienia związku przeciwko koncepcji unii. Na wezwanie elektora heskiego odnowiony związek postanowił udzielić mu pomocy przeciwko rewolucji, która wybuchła w tym państwie należącej formalnie jeszcze do unii, ale biorącej już udział w odnowieniu związku. Hesja zaczęła terytorialnie wschodnie i zachodnie prowincje Prus, wypadnięcie jej z unii stanowiło dla Prus poważne niebezpieczeństwo; podobnie interwencja związku — pod przewodnictwem austriackim — w Hesji. Prusy musiały przeciwdziałać interwencji związku. Groźba wojny z Austrią i Rosją zmusiła jednak Prusy do podpisania układu w Ołomuńcu zobowiązującego je do cofnięcia wojsk, odwołania mobilizacji, rozwiązania unii, uznania związku.

Czas pracował jednak przeciwko związkowi i temu wszystkiemu co on reprezentował. Sprawa Sleszwigu i Holsztynu — konflikt austriacko-pruski i próba Austrii użyć Związku przeciwko Prusom doprowadziła w 1866 r. do wystąpienia Prus ze Związku. Za nimi poszła większość państw północno-niemieckich, tworząc Związek Północno-Niemiecki mający doprowadzić do północno-niemieckiego państwa związkowego z pruskim kierownictwem. Niepowodzenia wojenne Austrii zmusiły ją i państwa z nią sprzymierzone do uznania Związku Niemieckiego za rozwiązany oraz do udzielenia zgody na utworzenie Związku Północno-Niemieckiego i złączenie z nim państw południwnoniemieckich.

Konferencja przedstawicieli rządów państw wchodzących do nowego związku zwołana przez Prusy do Berlina zatwierdziła pruski projekt ustroju Związku, a sejm Rzeszy (*Reichstag*), wybrany na podstawie ordynacji wyborczych wydanych przez poszczególne państwa Związku, zaakceptował go. Związek północno-niemiecki przedstawiał państwo związkowe z Prusami jako prezydium Związku i radą Związku złożoną z przedstawicieli rządów państw związkowych na czele. Ustawodawstwo Związkowe należało do rady Związku i sejm, wybieranego w wyborach powszechnych, tajnych i bezpośrednich. Do decyzji konieczne były zgodne uchwały rady i sejmów powzięte większością głosów. W sprawach wojskowych i marynarki wojennej zmiana urzędzeń wymagała zgody prezydium Związku tj. Prus. Do prezydium należało też ogłaszanie praw i czuwanie nad ich wykonaniem. Organem prezydium był mianowany przez Prusy kanclerz Związku.

Dalsze zjednoczenie Niemiec w ramach Związku dokonywało się na drodze ustawodawstwa związkowego w sprawach gospodarczych, m.in. związek celny dawniej o charakterze porozumienia międzynarodowego stał się ściślejszą, wewnątrzpań-

stwową organizacją kierowaną przez organy Związku północno-niemieckiego.

Kanclerzem Związku został Bismarck. W następstwie wojny prusko-francuskiej Związek Północno-Niemiecki został przekształcony na Rzeszę Niemiecką (*Deutsches Reich*) — państwo związkowe, do którego weszły i państwa południwnoniemieckie, złączone z północnymi już dawniej w związku celnym. Król pruski na zaproszenie królów i książąt państw niemieckich przyjął dziedziczny tytuł cesarza niemieckiego.

Efektowna droga od średniowiecznego cesarstwa niemieckiego do cesarstwa niemieckiego w jego nowożytnej postaci została dopełniona.

8.

Jaką pozycję na tej drodze zajmują rok 1848?

Cesarstwo niemieckie — kreacja ustrojowa średniowiecza — oficjalnie zakończyło swój byt już kilkadziesiąt lat wcześniej, faktycznie *der Deutsche Bund* stanowił jego naturalną kontynuację. Cesarstwo niemieckie jako kreacja nowożytnego państwa miało powstać w kilkadziesiąt dopiero lat później. Rok 1848 sygnalizował już jednak wyraźnie, że czas ten się zbliża. Rok 1848 postawił problem nowego zjednoczenia politycznego Niemiec i zorientował w jakim kierunku iść będą próby rozwiązania tego problemu. Rok 1848 przeciwstawił dawnym pojęciom, które odpowiadały średniowiecznym, feudalnym jeszcze formom politycznym, dwa nowe hasła: zjednoczenia i narodu, sprzęgnięte z sobą, wyrażające potrzeby nowożytnej organizacji społecznej.

Zjednoczenie Niemiec — a zatem przeciwko rozbiciu na wiele państw — zjednoczenie Niemiec, to więcej niż federacja z honorowym cesarzem i jego elektorami książęcymi na czele, to więcej niż związek niemieckich państw. Zjednoczenie musiało iść przeciwko suwerenności tych państw, przeciwko uprawnieniom ich władców, przeciwko autokratyzmowi, z Bożej łaski dziedzicznym ich rządów. Hasła narodowe uderzały w system tych rządów z innych znowu pozycji — od dołu, od rządzonych, dopominano się praw dla narodu, przeciwko wszechwładzy rządów; ale równocześnie rozrywały one hermetyczne granice księstw i królestw Bundu, głosiły inną jedność, nie federacyjną, nie współpracy rządów, jedność głębszą, jedność narodu, jedność Niemiec jako społeczeństwa. Zjednoczenie polityczne miało jej dać formy organizacyjne.

Rok 1848 ukazał grę sił politycznych i społecznych, która miała doprowadzić do nowego ustroju Niemiec, ukazał rolę historyczną i wartość społeczną każdej z nich.

Inicjatywa zjednoczenia znalazła się w programie narodowych liberałów, przedstawicieli tej klasy społecznej, która stanowiła awangardę nadchodzącej struktury ekonomicznej: młodego kapitalizmu.

Idea narodowego zjednoczenia Niemiec zawierała treść konkretną: stworzenia warunków politycznych dla ekspansji przemysłowej, wymiany kapitalistycznej. A to oznaczało i konieczność przełamania barier granicznych i podważenia systemu rządów wewnętrznych, reprezentujących feudalną strukturę społeczną i prowadzącą politykę po linii interesów wielkoziemiańskiej arystokracji rodowej. Hamowały one bowiem tendencje rozwojowe, które wyprowadzają społeczeństwo z ładu średniowiecznego na nowożytny etap organizacji narodu, na etap dający wspierać możliwości dyspozytorom kapitału, na etap wolności ekonomicznej — a zatem także wolności prawnej i politycznej dla warstw gospodarczo silnych. Naród — to hasło młodego kapitalizmu przeciwko autokratyzmowi, małym władcom feudalnym Niemiec.

Realizatorem zjednoczenia był jednakże nie naród, a rządy państw niemieckich, a ustrojem zjednoczeniowym Niemiec miało się stać cesarstwo — autokratyczny, dziedziczny rząd królestwa, wyraziciel interesów pruskiej arystokracji wielkoniemieckiej przede wszystkim.

Już wypadki roku 1848 wskazywały, że idea zjednoczenia Niemiec była ideą narodową głównie w tym znaczeniu, że hasło narodu mobilizowało wyobrażenia i emocje zjednoczeniowe. Nie zjednoczenie dla narodu, lecz pojęcie narodu jako instrumentu polityki zjednoczeniowej; tylko taka interpretacja ówczesnych ideologii pozwala zrozumieć przebieg wypadków 1848 r.

9.

Zjednoczenie Niemiec — podstawowy nurt przemian ustrojowych XIX w. dokonywało się nie na drodze rewolucyjnej.

Rewolucyjna wiosna ludów nadała bieg polityczny tej sprawie. Jednocześnie się ekonomicznie było już zaawansowane. Ale naród niemiecki — liberalni politycy wielkokapitalistyczni rzucając rewolucyjne hasło zjednoczenia narodowego nie próbowali przeprowadzić go na rewolucyjnej drodze przeciwko rządowi państw niemieckich; przyjmowali zasadę kolaboracji przedstawicielstwa narodowego z tymi rządami w pracy nad stworzeniem nowego ustroju politycznego i w przyszłym ustroju, a konstytucja dla Niemiec uchwalona przez zgromadzenie narodowe frankfurckie w marcu 1849 r. urządziła Niemcy jako Rzeszę z dziedzicznym cesarzem (królem pruskim) i powoływała sejm Rzeszy dwuizbowy, przedstawicielstwo naro-

dowe i przedstawicielstwo rządów — królestw i księstw niemieckich. Zgromadzenie Narodowe frankfurckie było de facto nie tylko reprezentacją narodową, ale i reprezentacją rządów państw niemieckich; nowy ustrój, kreacja tego parlamentu, a więc formalnie kreacja narodowa, został niezwłocznie zaakceptowany przez autokratyczne rządy państw niemieckich.

Ale i w tym sposobie reformy ustroju politycznego Niemiec było za wiele formalnego wpływu narodu; cesarstwo niemieckie z królem pruskim na czele miało powstać w inny sposób — na drodze porozumienia ponad narodem w zasadzie, porozumienia samych rządów.

Tak powstało cesarstwo niemieckie w 1871 r.

Rok 1848 stanowił na drodze politycznego zjednoczenia Niemiec epizod tylko, a nie program roku 1848, zjednoczenie i jego podstawowe formy stały się żywą treścią dalszych dziejów Niemiec.

Rok 1848 wskazywał, że w pochodzie ku zjednoczeniu będą szły w jednym szeregu państwo i naród niemiecki i że zjednoczenie to może oznaczać nie zwycięstwo narodu przeciwko autokratyzmowi, ale nową formę ustroju, dającą szansę klasom dawnym i nowym czasów — wielkiemu kapitałowi we wszystkich jego postaciach, burżuazji i ziemiaństwu.

Nie przewrót społeczno-polityczny jak we Francji w Wielkiej Rewolucji — ale ewolucja prowadząca od rządów arystokracji rodowej do współrządów ziemiań-

stwa i burżuazji — rządów arystokracji nowego ustroju — kapitalistycznego.

Przeciwko takiemu zjednoczeniu stanęła natomiast Austria, państwo jeszcze nawskroś feudalne, niezdolne jeszcze do ustępstw na rzecz nowych sił społecznych. Reprezentowało ono dawną ideę: federacji Niemiec. Zmuszała je do tego i postawa obozu dążącego do zjednoczenia, gdyż w jego programie było zjednoczenie krajów rozwiniętych ekonomicznie — zjednoczenie narodowe-niemieckie; Austria przedstawiała zespół krajów w większości niemieckich i zacofanych gospodarczo. Idea zjednoczenia Niemiec godziła w ideę zjednoczenia monarchii habsburskiej. Zjednoczenie musiało się zatem dokonać i dokonało się bez Austrii, przeciwko postawie Austrii.

Stanisław Sreńkowski

WITOLD ŁUKASZEWICZ

Księża rewolucjoniści na emigracji (1831 — 1848)

W ŚRÓD ZASŁUŻONYCH szermieży zasad demokratycznych na emigracji w latach 1831—1848 byli również księża-uczesnicy powstania listopadowego. Rola ich na wychodźstwie była wyjątkowo trudna; mieli bowiem do wyboru dwie drogi: jedną — prowadzącą do Rzymu, gdzie na stolicy piotrowej zasiadał niechętny polskiemu narodowi papież Grzegorz XVI, drugą — wiodącą do ojczyzny przez spiski powstańcze, kazamaty i szubienice. Trzeba było niepospolitej odwagi i poświęcenia, aby wylamać się spod przepisów karności duchownej i stanąć otwarcie w szeregu prawdziwych bojowników wolności. Wielu kapłanów emigracyjnych zdało chlubnie ten egzamin patriotyczny, poświęcając się bez reszty służbie dla nowej, demokratyczno-republikańskiej Polski. Dziś z perspektywy przeszło stulecia jesteśmy w stanie w pełni ocenić ich zasługi. Oto te godne pamięci publicznej nazwiska:

Ks. Kazimierz Aleksander Pułaski, czołowy działacz Towarzystwa Patriotycznego podczas powstania, organizator przewrotu 15 sierpnia 1831 r., w którym lud warszawski ukarał szubienicą wojskowych i cywilnych zdrajców ojczyzny. Szczery rzecznik usamowolnienia i uwłaszczenia chłopów, ks. Pułaski, chciał powstaniu nadać charakter rewolucji ludowej, społecznej. Walczył dzielnie z wrogiem zewnętrznym i rodzimą szlachecką kontrrewolucją. Po upadku powstania wyemigrował do Francji, zatrzymując się w Paryżu. Wspólnie z dawnymi kolegami-klubistami warszawskimi przystąpił energicznie do organizowania lewicy emigracyjnej. Był jednym z pięciu założycieli Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w dniu 17 marca 1832 r. Brał udział razem z J. N. Janowskim, Tadeuszem Krępowieckim, Adamem Gurowskim i Ignacym Romualdem Flukańskim w redagowaniu słynnego „Aktu Założenia” Towarzystwa, który zapowiadał pełną równość polityczną i społeczną wszystkich obywateli, a ziemię i jej owoce uznawał za wspólne dobro narodu.

Radykalizm społeczny ks. Pułaskiego, jego kontakty z francuskim ruchem rewolucyjnym o podłożu węglańsko-komunistycznym, przyjaźń i współpraca z Filipem Buonarottim, Godfreyem Cavaignacem, Raspaillem; przynależność do masonerii, gdzie w loży Trinité Indivisible w Paryżu był Pierwszym Dozorcą, budziły doń nienawiść czartoryskich i przyczyniły się do przesładowania ze strony władz policyjnych francuskich. Niepomysłowy, temperament i ambicja były powodem wykreślenia ks. Pułaskiego już w listopadzie 1832 roku z listy członków Towarzystwa Demokratycznego przez Sekcję Centralną Paryską. Pułaski pozostał jednakże nadal z przekonania i czynów szczerym ludowym demokratą. Wydalony w lecie 1833 r. z Francji do Belgii, osiadł w Brukseli i zabrał się natychmiast do organizowania ogółu emigracyjnego przy pomocy Stanisława Worcella i Krępowieckiego. Joachim Lelewel tak te prace oceniał w liście do brata Jana z dnia 12 listopada 1833 roku: „Pułaski jest tu w swoim elemencie, rządzi, rej wodzi i nikt mu nie przeszkadza. Jeździ, zwiera różne znajomości, porusza odurzonych i ospałych, rzędzi, łaje i po całych dniach gra w domino”. Wraz z wymienionymi wyżej działaczami i republikanami belgijskimi założył ks. Pułaski w Brukseli gazetę: „La Voix du Peuple”, w której umieszczał artykuły przeciw monarchii i despotyzmowi, za co wiosną 1834 r. został wydany przez władze belgijskie w towarzystwie Worcella i Krępowieckiego do Anglii. Stanąwszy nad Tamizą przystąpił ks. Pułaski do pracy organizacyjnej i podjął nieubłaganą walkę z czartoryszczykami i ich popiecznikami z angielskiego Literackiego Towarzystwa Przyjaciół Polski. Walka ta doprowadziła do rozłamów wśród emigracji londyńskiej. Lewica republikańsko-demokratyczna utworzyła za sprawą Pułaskiego tzw. Gminę (6.IX.1834), która podjęła zabiegi o pozyskanie dla swych planów przybyłych zimą 1834 r. do Portsmouthu żołnierzy polskich, więzionych w twierdzy pruskiej, głównie w Grudziądzu. Ks. Pułaski, Woźniak i Krępowiecki wysłali do Portsmouth księdza Wincentego Zienkiewicza, który przy pomocy lekarza Sobolewskiego szerzył wśród wiarusów zasady wszechwładztwa ludu.

Wkrótce powstała w Portsmouth Sekcja Towarzystwa Demokratycznego, przeniknięta wpływami węglańsko-komunistycznymi



Atak na barykadę, Plac Bastylli, 25 czerwca

Buonarottiego, szefa europejskiego podziemia rewolucyjnego. Popadła ona rychło w zatarg z Sekcją Centralną w Paryżu z powodu nieuznawania własności prywatnej i uorganizowała się 30 października 1835 r. w chłopsko-socjalistyczny Lud Polski z gromadą „Grudzią” w Portsmouth i „Hurman” na wyspie Jersey.

Ks. Wincenty Zaboklicki, powstaniec żołnierszy i kapłan, węglań, jeden z najpierwszych członków Towarzystwa Demokratycznego, uczestniczył w wyprawie płk. Zaliwskiego do Królestwa Polskiego wiosną 1833 r., walczył w oddziale Léopolda Białkowskiego, odznaczył się w ataku na Józefów. Po powrocie do Galicji został uwięziony przez policję austriacką i po kilku latach śledztwa i tortur skazany 23 lutego 1837 r. na szubienicę z zamianą na 15 lat powolnego konania w twierdzy tyrolskiej Kufstein. Zmarł 17 stycznia 1840 r. w celi więziennej z suchoty i zapalenia wątroby. Piękny w życiu wolnym, wzorowy w cierpieniu, szedł do ojczyzny, by porwać lud wiejski do powstania. Z pistoletem i ewangelią w dłoni brał rozbrat z Rzymem, gdy chodziło o Polskę.

W dawnym papieskim, tradycyjnie klerykalnym Avignionie, którego ludność nienawistnym okiem spoglądała na własnych i obcych rewolucjonistów, rząd królewski Ludwika Filipa otworzył pierwszy zakład dla emigrantów polskich. Zawędrowali do tej „Ciepłej Syberii”, jak w języku tułaczów określano Avignon, wraz z rzeszą emigrancką księża: Tomasz Puchalski, Wojciech Różyński, Ignacy Trepka, Boszkowski, Zaboklicki i Stefan Wallner. Byli oni zapałonymi demokratami. Odprawiali w kościele na Skale tuż przy dawnym pałacu papieskim nabożeństwa dla rodaków, a jednocześnie prowadzili propagandę rewolucyjną wśród podoficerów i żołnierzy, głównie chłopów. Gdy władze francuskie w końcu stycznia 1833 r. w związku z wyprawą Zaliwskiego rozrzucały robotniczymi w Lyonie podzieliły zakłady w Avignon, usuwając 156 radykalnych demokratów do Bergerac koło Bordeaux, księża Puchalski i Różyński działając w porozumieniu z ks. Pułaskim i Krępowieckim uczynili z tego zakładu bastion ludowej demokracji. Chłopscy żołnierze pokochali swych księży-rewolucjonistów i razem z nimi poszli na nową tułaczkę, pędzeni przez francuską policję do Le Mans, Angers, Niort.

W zakładzie emigracyjnym Besanson, grupującym najgorętszą młodzież powstańcza zapuściły korzenie: masoneria i węglaństwo. Polska łoża wolnomularska w Besansonie miała głównie charakter wychowawczy, prowadząc propagandę przeciw pijaństwu, kar-

tom i rozpucie. Jej pierwszym mówcą został Hieronim Kajsiewicz, późniejszy szef utworzonego w roku 1842 Zakonu OO. Zmarłych powstańców. Należeli również do łoża księża: Salezy Harczyński i Józef Skibiński. Przeszli oni z chwilą rozwiązania się łoża wolnomularskiego w połowie 1832 roku do węglaństwa, mającego charakter niepodległościowo-rewolucyjno-komunistyczny. W Besansonie powstał „poręb” węglański jeden z największych we Francji.

W rocznicę bitwy grochowskiej 25 lutego 1833 r. ks. Skibiński odprawił uroczyste nabożeństwo i miał kazanie, w którym dowodził, że „królówie zstąpi sa przez Boga na ukaranie narodów”. Ks. Salezy Harczyński, były kapłan 3 pułku strzelców pieszych, odprawił w dzień Wielkiejnocy 7 kwietnia 1833 r. we wsi Morre pod Besansonem nabożeństwo i w kazaniu o zmartwychpowstaniu Polski i ludów, wezwał rodaków do marszu na pomoc rewolucji we Frankfurcie nad Menem. Wieczorem tego dnia kilkuset Polaków z Besansonu z płk. Ludwikiem Oborskim na czele wyruszyło w szczy bojowym w stronę granicy szwajcarskiej. Posłali na zew wolności jako „Hufiec Święty” w Szwajcarii, gdzie ich zatrzymano, uformowali wzorową komunię żołnierską. Razem z nimi maszerował na czele kilkudziesięciu emigrantów z Dijon, przywódcą węglańcy w tamtejszym zakładzie — ks. Franciszek Korycki.

Był to kapłan wielkiego serca i wspaniałej duszy. Kiedy na początku 1846 r. rozszła się na emigracji pogłoska o powieszeniu Ks. Piotra Sciegennego, ks. Korycki wystąpił ze śmiałą inicjatywą uczczenia nabożeństwem żałobnym pamięci nowego męczennika za sprawę wolności i demokracji. Sprzeciwili się temu gwałtownie czartoryszczycy oraz popierający ich OO. Zmartwychwstańcy, przezwani przez lewicę emigracyjną dla swych papistowskich poglądów — jezuitami polskimi. Oskarżali oni księdza Sciegennego o naruszenie karności kościelnej przez wydanie fałszywej bulli i o przesadny demokratyzm. Z zarzutami tymi wystąpił organ polskiego jezuityzmu emigracyjnego: „Dziennik Narodowy”. Wówczas ks. Korycki wraz z innymi księżmi demokraciami ogłosił protestację w „Demokracie Polskiej” przeciw takiemu stanowisku konserwy emigracyjnej. Oto jej treść w skróceniu: „Dziennik Narodowy” pod nr 203 z dn. 22.XI.1845 r. powiada że sfałszowanie bulli, wyrzucanie panów i komunizm są wymyślone przez rząd moskiewski dla rozdwojenia Polaków i oskarża ś. o. Sciegennego tylko o zbyteczną zarliwość patriotyzmu, którą śmie nazywać nie-roztropnością. Nie pamięta, że ta sama nie-

roztropność była dostateczną potęgą do wyparowania wroga ze stolicy w pamiętnym dniu 29 listopada. I rzeczywiście póki rewolucja polska stała zbrojnie i groźnie na nogach nie śmiano jej wtenczas złorzeczyć jawnie ani z dołu ani z góry... Dalej wyrzuca wzmiankowanemu księdzu ze złorzeczeniem, że był wyegzaltowanym demokratą, jakby miłość uciśnionego ludu mogła być kiedy wykroczeniem... Zarzuca na koniec, że nie wiele miał religii; zapominał o tym albo że jest sam oświecony, że religia jest wyrazem zewnętrznej wiary i nadziei, a ta wiara i nadzieja jednoczą się i zlewają w miłość Boga i bliźniego; a miłość takowa urzeczywistnia się i staje się prawdą tylko przez zaprzanie się siebie samego i wyrzeczenie się wszelkiego mienia dla ulg swych braci, jak to uczynił nieodżałowany rodak nasz kapłan, który potęgą swej wiary, miłości pokonawszy śmierć, świat, zartę i piekło... stanął obok nieśmiertelnych poprzedników swoich: Zawiszy, Wołłowicza, Konarskiego i im podobnych; a który kapłan nie jest zdolny wznieść się do takiej wysokości ewangelicznej ani duchem ani czynem, nie jest godny zwać się uczniem Zbawiciela Świata. Pobyłki zatem, jakie skłoniły „Dziennik Narodowy” do potępienia i złorzeczenia śmierci błogosławionego męczennika Polski, zasługują raczej u prawych synów ojczyzny na jak największą cześć i naśladowanie”. (Dem. Polski z dn. 22.III.1845 r., nr 33, str. 131).

Arystokracja emigracyjna, wysługująca się duchowieństwem i religią przy tłumieniu propagandy demokratycznej — rewolucyjnej na tutejszym i w kraju, umieszczała nieraz pod swymi odezwaniami samowolnie nazwiska kapłanów-emigrantów... Oto oświadczenie ks. Stefana Wallnera w tej sprawie; umieszczone 14 września 1844 r. w „Demokracji Polskiej”: „...nie wiem, jakim sposobem umieszczono mój podpis w „Trzecim Maju” itpoważniając Czartoryskiego do działania w imieniu Polski i emigracji. Nie będąc obecnym w Lyonie, nie mogłem rzeczonoż aktu podpisać i to tym więcej, że silnie byłem i jestem przekonany, że arystokracja polska i jej naczelnik ciągle była powodem wszystkich naszych nieszczęść i upadku Ojczyzny. Proszę więc cie obywatelu zechciej umieścić moją manifestację, aby przekonała dyktatorów o ich bezsilności i aby nadal ludzi mających na celu oswobodzenie ludu polskiego w imię wolności i równości nie kompromitowali, przywłaszczając sobie ukradkiem i bez ich wiedzy ich podpisy...”

Ks. Walery Breński z Poznańskiego na wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie wygłosił w kościele patriotyczne kazanie, przebrał się i przez kordon graniczny dotarł do Królestwa, walcząc jako prosty szeregowiec w 1 pułku strzelców pieszych. Odznaczył się w bitwach pod Wawrem i Grochowem, za co awansował na podporucznika. Za dzielność w boju pod Ostrołką otrzymał Virtuti Militari. Po upadku powstania przez Galicję podążył do Francji. Uczestniczył we wszystkich wystąpieniach emigrantów-demokratów. W r. 1833 brał udział w wyprawie frankfurckiej, a następnie w ekspedycji do Sabaudii pod gen. Ramorino. Po powrocie do Francji współpracował z Młodą Polską i był bardzo czynny w Towarzystwie Demokratycznym Polskim, do którego Centralizacji wszedł w r. 1837 wraz z Wojciechem Darasem. Z polecenia Centralizacji zorganizował w Księstwie Poznańskim, w latach 1837—1841 demokratyczne rewolucyjne siatki spiskowe. On to pozyskał dla Towarzystwa liberałów poznańskich z Karolem Libeltem na czele. W roku 1848 przebył ks. Breński do Wrocławia i wszedł do tamtejszego Komitetu Rewolucyjnego. Po załamaniu się fali rewolucyjnej w Europie wrócił w Poznańskie i jako wikariusz w Krobi, później proboszcz w Tarnowie Podgórnym, opiekował się po ojcowisku ludem wiejskim. Zmarł niesąc pomoc chorým na cholera w roku 1866.

Tak przedstawia się w ogólności działalność emigracyjnych księży rewolucjonistów i społeczników w latach 1831—1848. Łączyli oni propagandę demokratyczną z misją kapłańską, szli do nowej Polski sprawiedliwości społecznej z hasłem na ustach i w czynie: „Wszystko dla ludu, przez lud”. Szli według wskazań ducha czasu drogą cierniową ku ojczyźnie, wrótni tylko w jej gwiazde, nieczuli na głosy potępienia, jakimś witała ich rzymsko-papieska i polska reakcja.

Witold Łukasiewicz

JAN ARTUR RIMBAUD miał sześćnaście lat, kiedy zaczął pisać, dzie wietnaście — kiedy zarzucił pisanie. Utwory, które ogłoszono później pod nazwą „Pierwszych wierszy”, powstały w 1870—71. „Illuminacje” noszą datę 1872—73. „Sezon w piekle” napisał latem w 1873.

Młodzieńcza poezja Rimbauda ściśle splatała się z praktyką jego życia, stanowiła odcinek doświadczeń własnych, bezpośredni dokument jego stosunku do świata. Nadzieja, że świat można przerobić, zaprowadzić go na barykady Komuny. Utrata nadziei miała go doprowadzić poprzez światoburcze okrzyki rozpacz do rozbicia duchowego i skazać go na los awanturnika. — Przez krótki czas w 1872 Rimbaud przebywał w Paryżu, ocierał się o środowisko literackie, które przejmowało go wstrętem. Przyjaźni się z Verlaine'm, odbywa z nim wycieczki po Francji i Belgii, zakończone gwałtowną sprzeczką i dramatycznym rozstaniem. Potem niszczy cały nakład „Seznu w piekle”, pierwszej swojej książki, która miała się ukazać drukiem. Rozczarowanie do świata literackiego nie było decydującą okolicznością tej decyzji. Rozbicie duchowe po upadku Komuny doprowadziło Rimbauda do osobliwych doświadczeń poetyckich, zawartych w „Sezonie”. Ludził się, że tymi doświadczeniami na pograniczu halucynacji — wydziera naturze jakąś tajemniczą prawdę, że ta nowa praktyka poetycka ma wartość poznawczą. „Sezon w piekle” zawiera nie tylko przebieg tych doświadczeń, ale i konkluzję rozczarowania. Po utracie nadziei społecznych była to druga porażka, katastrofa, po której zamilkł.

BUNT

Cierpki młodzieńczy smak życia, tętno żywiołowej radości, zainteresowanie światem, obserwacja wyposażona w niezmierną siłę, bujność, namietność, świeżość słowa, nadaje wierszom z lat 1870—71 wybitne zacięcie realistyczne. W obserwacji obyczajów, w ocenie moralnej Rimbaud nawiązuje do buntowniczego sarkazmu Baudelaire'a. Nienawidzi Drugiego Cesarstwa, nienawidzi usławnego porządku. Burzy się przeciwko katechizmowi, ewangelicznej pokorze wpajanej przez wychowanie klerykalne, oskarża religię o kaleczenie duszy ludzkiej, o łamanie naturalnych popędów.

Język Rimbauda, brutalny, wyzywający, czerpany z mowy potocznej — jest w dużej mierze repliką na wyszukany i ograniczony styl parnasistów. Po nowatorstwie Baudelaire'a, po uproszczeniu języka poetyckiego przez Verlaine'a, w tym samym czasie, co nieznany jeszcze wówczas Tristan Corbiere, Rimbaud wprowadza nową, gwałtowną falę języka pospolitego. Zdanie, obraz, przenośnia osiąga niespotykaną dotąd dynamikę, słowa wchodzą w niespodziewane związki, rodzą zuchwałą metaforę, gwałtownie poruszają wyobraźnię. Przejmując po romantykach baśniowe obrazy przyrody, Rimbaud wkłada w nie swoją dziecinną tęsknotę do przysług, pokusę włóczęgi, która później w „Statku pijanym” wybuchnie lawiną metafor i fantastycznych wizji.

Wiersz Rimbauda wylamuje się z tradycyjnych reguł francuskiej poezji literackiej: nie liczy się ze stałą cezurą, odrzuca graficzne ograniczenia rymu klasycznego, przejmując rym dźwiękowy z poezji i piosenki ludowej. Później Rimbaud wprowadzi obok rymów asonanse, przejdzie do wiersza wolnego i wreszcie da pierwsze próby wierszy białych.

Wiersze siedemnastoletniego poety kipiały entuzjazmem dla Komuny i nienawiścią do wersalczyków. Zdzawienie Komuny, masakra urządzona przez burżuazję, „Czasy morderców”, jak je nazwał, wywołały w nim paroksyzmy rozpacz, sny o straszliwym odwecie. W rok po pogromie w wierszu „Vertige” („Do nieprzytomności”) przelinając przemysłowców, książąt, senatorów, mocarstwa, sądy, historię, rozciąga wyrok zagłady na całą cywilizację, marzy o ucieczce z Europy, o „czarnych braciach” afrykańskich.

Wszystko dla wojny, zemsty, niech się terror sroży.
Duchu mój! Rozjatrzymy krew z pod świeżej szramy:
Republiki tego świata, imperatorzy,
Kolonie, narody, pulki: dość was mamy!
Kto prócz nas kłębowało wściekłych ognispieni,
Prócz tych, co są nam braćmi w naszej wyobraźni?
Marzyciele przygody, do nas, do nas raźniej:
Nie shanibimy się pracą, o fale płomieni!

Europo, Ameryko, Azjo, w przepaść runicie.
Wszędzie dotarli nasz pochód zemsty nieustanny,
Miasta wsie zagarnali! — Wyginęli w huncie;
Wulkany buchają! Z nimi ocean chłostany...

Pasja krytycyzmu Rimbauda, zjadliwe tony w pierwszych utworach, dokumenty nienawiści i żądzy zniszczenia — w późniejszych, często przesłaniają czytelnikowi głębią czułość, która z trudem szuka sobie ujścia w nieprzyjaznym świecie. W „czasach morderców”, które zdusiły w nim wiarę w wartość świata i życia, pozostało mu tylko przewrotne westchnienie do „miłych, drogich kruków”. Ale zanim się tak stało, że pokochał kruki, miłość jego miała inne, humanistyczne rysy, w pięknych strofach nadziei zachwycał się rękami komunardki:

Jakże one cudnie zbłądły,
Gdy świt był miłością ciążący.
Na brząz mitraliez się kładły
Poprzez Paryż powstający.

Pojęcia, którymi się posługuje Rimbaud, mogą wywołać pewne nieporozumienia w umyśle dzisiejszego czytelnika. Pojęcia dotyczące człowieka i jego natury — w 1871 układały się inaczej niż dzisiaj. W ustach

ADAM WAZYK

DRAMAT

Rimbauda, podobnie zresztą jak u Verlaine'a, epitet Barbarzyńca nie przynosi ujmy. Barbarzyńcą jest ten, co nie ugię się przed panującym porządkiem. — Opinia warstw uprzywilejowanych pomawiała wszystkich rewolucjonistów o knowania przeciwko cywilizacji, o barbarzyńskie żądze i zapędy. Można przyjąć z ust przeciwnika nazwę pogardliwą i uznać ją za chlubę. Nazwa sankiulotów, z początku pogardliwa, poszła stąd, że ośmielił się nosić długie spodnie. W wypadku rzekomych Barbarzyńców szło o rzeczy ważniejsze.

Człowiek pierwotny Jana Jakuba Rous-

seau był z natury dobry i łagodny. U Rimbauda ten mit występował w gwałtowniejszym wariacie. Barbarzyńca miał przypominać bujną naturę ludzką nie okaleczoną przez cywilizację. Było to — wzięte z katechizmu i obrócone przeciwko duchowi katechizmu wyobrażenie pierwotnego stanu człowieka, szczęście rajskiej dzikości. — bez wiedzy o dobrym i złym. Mit pierwotnej natury, której należy się swoboda rozwoju, godził w ustalony porządek rzeczy, wspierał walkę z uciskiem społecznym. — Był niedojrzałym wyrazem dążeń do wyzwolenia człowieka z pęt kapitalizmu w cza-

JAN ARTUR RIMBAUD

ZBLĄKANE

Czarne na śniegu wśród zamieci
Tam, gdzie się w dole okno świeci.
Wgapione w sklep.

Na kłęczkach kuląc się w pięcioro.
Patrz jak Piekarczyż późną porą
Wypieka chleb.

Jak ujmie w mocną białą rękę
I w czeluść włoży ciasto miękkie —
Widzą zza krat.

Jak się tam dobry chleb wygrzewa
I jak pod nosem Piekarczyż śpiewa
Płosknę sprzed lat.

W czerwonym oknie wpół osiepiły.
Jak pierś je przykuł oddech ciepły
Od stóp do czoł.

I kiedy babki się zazłocą,
Które po poście pójda nocą
Na suty stół.

Kiedy śpiewają skórki świeże
Świerszcz pod belką nutę bierze
Na cały świat.

Jakie w tym ciepłym rowku życie,
Dusza rozplywa się w zachwycie
Pod kupą szmat.

Czują, jak dobrze im się żyje,
Spod szronu wyciągają szyje
Bliżej pod żar.

Do krat przyssały twarz różową,
Biedule, mruca jakąś mową
W ciepłą szpar.

Glupiotko pacierz odmawiają
Ku tym światłościom, jasnym rajom
W niebie zza krat.

Aż im pękają w szwach porcieta,
Okreca się koszula zmięta
I dmie w nią wiatr.

SAMOGŁOSKI

A czern, E biel, I czerwien, U zielen, O błekity,
Tajony wasz rodowód któregoś dnia ustale.
A, wlochaty gorsecik much brzęczących wspaniale
W locie nad kupą gnoju; mrok w zatoke zaszyty;

E, śnieżny blask namiotów, igła w lodowej skale,
Opary, biał króle, dreszcz pod baldaszkami skryty;
I, plama krwi w płwocinie, purpurowe rozkwity,
Śmiech pięknej wargi w gniewie lub pokutniczym szale;

U, cykle, opalowa gra mór, spokój pastwiska
Usiany zwierzętami, spokój, który odcisła
W skórze uczonych czoł brudza alchemii głęboka;

O, trąba niebiańska co dziwne świsty kołysy
Obszary gdzie Anioły i Światły prują ciszę;
— Omego, fioletowy promieniu Jego Oka!

Ł Z A

Zdaleka od ptaków, od wieśniaczek i trzody
Pilem kłęcząc w zarośla jakimś okolony
Wrzosa mi i wiatry drzewkami leszczyny,
We mgłę popołudniowej — ciepłej i zielonej.

Cóż takiego pić mogłem z tej Uazy młodej,
Wiązy bezgłośnie, trawa bez barw, kryte niebo,
Pić przez tykwy omszałe zdala od jasnego
Szalasu: złota ciecz, od której biją poty?

Niezbýt ponętny obraz jak na szyld gospody,
Potem niebo zmienione po gwałtownej morce:
Były to czarne kraje i sterczące płoty,
Kolumnady na tle błękitnej nocy, dworce.

Dziewiczy piach pochłaniał strugi leśnej wody,
Wiatr Boży w rozlewiska młotał gradobicie,
I jak o polawiaczu złota czy muszelek,
Mógłby kto pomyśleć, że nie szło mi o picie!

Przełożył Adam Wazyk

MŁODE MAŁŻEŃSTWO

Pokój otwarty na bezmiar granatu,
Mnóstwo się kufków i pudełek płacze!
Z muru przez okno zaglądają pnące
I aż do dżiaśel grają ząbki skrzatów.

Pewnie to duszki figlują niedobre
W tym rozgardiaszu, a nikt nie posprząta!
To afrykańska sieje wróżka morwe,
Śiatki na włosy zarzuca po kątach.

Tuzin gderliwych kumoszek przeskoczy
Po smudze światła i wstrząśnie komodą
Tam już zostaną! Małżeństwo się boczy
Niezbýt poważnie, bo szkoda zachodu.

Mąż ma chiochlika, co wciąż go okrada,
Zaoznie, wietrznik, uprawia połowy.
Nawet wodników złośliwa gromada
Waleśa się w okolicach alkowy.

Nocą życzliwa, och, księżyc miodowy
Urwie ich uśmiech i uniesie w górę,
Miedziane prażki w niebie ustokrotni,
A potem będzie przeprawa ze szczurem.

— Byłe nie uniósł się jak ogień z króciec
W mrok po niesporach duch latawiec błady.
O święto białe bełceńskie zjawy,
Na błękit okna riaszczę urok rzuci!

KOMEDIA PRAGNIENIA

II

Onidyń wiecznie,
Prujcie wody rzeczne.

Wenus, siostró błękitu,
Oczyść falę u szczytu.

Żydz! tulacze z Norwegii,
Opowiedzcie mi śniegi.

Wędrowcze mój dawny wygnany,
Opowiedz mi oceany.

Ja: — O nie, już te majczystsze trunki,
Kufle tych wodnych powoi,

Te legendy i wizerunki —
Nie mego gardła nie koł.

Pieśniarzu, chrześniaczką twych słów
Jest moje wściekle pragnienie,

Ta hydra wewnętrzna bez głów,
Co niesie awstrasz i zniszczenie.

RZĘKA PORZECZKOWA

W nietutejszych jarach nieznana płynie
Rzeka Porzeczkowa;
Krakanie stu kruków toczy się przy niej
I aniejska mowa.
Poruszenia wielkie czyni w jedlinie,
Nim wiatry pochowa.

I drażniące toczą się wzdłuż wybrzeży
Tajemnice dawnych lat.
Wspaniałych ogrodów, zwiedzanej wieży:
Pozostawiły tu ślad
Zgasłe namietności błędnych rycerzy;
Ale jak rzeźwy jest wiatr!

Przechodniu, w te luki spojrzysz przez liście:
Droga przed tobą pewna.
Kruki moje milc! Bóg cie tu przysię,
Kompanio puszczę gniewna!
Wyplosz opoja, co ciągnie przemysłnie
Z wyprószonego drewna.

RIMBAUD *

sach, kiedy nie zdołała jeszcze opanować świadomości mas naukowa myśl socjalistyczna, przynosząca nową wiedzę o człowieku.

Rimbaud we wczesnej młodości zetknął się z socjalizmem utopijnym, który, jak każda myśl społeczna przed Marksem, odwoływał się do natury ludzkiej jako do ostatecznej instancji.

W czasach Komuny Paryskiej teoria rewolucyjna Marksa nie miała jeszcze wielu zwolenników nawet wśród przywódców robotniczych. Decydujące argumenty naukowego socjalizmu: prawa zmian historycz-

nych — z trudem torowały sobie drogę do umysłów. W ciągu kilkunastu lat po doświadczeniu Komuny myśl marksistowska opanowała ruch robotniczy w zachodniej i środkowej Europie, stała się najgroźniejszą bronią postępu społecznego. Te zmiany posiały w przeciwnym obozie lęk przed prawami historii i rozumem ludzkim. Zaczęto doszukiwać się źródła nierówności społecznej w mrokach natury ludzkiej, w niedostępnym dla badacza przemocy jakoby siłach przyrodzonych, w cechach biologicznych czy rasowych — i nadawać tym niesprawdzalnym czynnikom najwyższą war-

tość. Nietzsche, głosiciel moralności subiektywnej poza dobrym i złym, stał się prorokiem odnowionych zabobonów, które mieli rozwinąć ideolodzy reakcyjni w okresie imperialistycznym. Prawo ciemnych instynktów zastąpiło historię. Mitologia instynktów sponiewierała rozum.

Dziś oddzielamy prawo jednostki do swobodnego rozwoju i do radości życia od mrocznej mitologii instynktów wypastowanej przez myśl reakcyjną. Ale w czasach młodości Rimbauda prawo do radości i swobodnego rozwoju razem z wiarą w przemożną siłę naturalnych popędów zbiegało się w jednym wyobrażeniu pierwotnej natury. Nie rzuca to najmniejszego cienia dwuznaczności na poezję, która służyła sprawie postępu.

Nie ma też żadnych powodów uważać Rimbauda za ojca duchowego tych wszystkich poetów i pisarzy, którzy w czasach znacznie późniejszych, w zupełnie innych

warunkach, w innym stanie ruchów społecznych i pojęć o człowieku, szydzili i burzyli się w imię swobody swoich instynktów, przeklinali świat lub oddawali się wizjom katastrofy czy zagłady. Różnica czasów, postęp historii, rozwój doświadczeń społecznych i umysłowych stanowi tu o wszystkim.

* ROZBICIE

„Illuminacje“ zaczynają się mściwym wołaniem o odwet i zagładę cywilizacji. Obraz zagłady powtarza się jeszcze w kilku utworach, jak „Michał i Krystyna“, jeszcze przenikliwe, uskrzydłone przenośniami spojrze- nie na całość życia i kultury kapitalistycznej przeciska się przez poszczególne poematy prozą i fragmenty „Sezonu“, ale już świat realny rozpada się w kłębowisku wizji. Gra wrażeń, kojarzenie dźwięków z barwami, barw z obrazami — pęciło Rimbauda jeszcze dawniej. Teraz, zrażony do świata, zaczyna obserwować siebie, swoje zmysły, instynkty. Walka społeczna o swobodny rozwój natury ludzkiej skończyła się porażką. Pozostało mu badanie natury: doświadcza jej na sobie. Szuka jakiejś prawdy w rozjątrzeniu swojej wrażliwości, czyha na objawienie tajemnicy za pośrednictwem zmysłów wyprowadzanych z równowagi, jak dziecko, które przekrzywia o- czy i szarpie sobie uszy, aby widzieć i słyszeć inaczej, osobliwiej, po nowemu. Obrazy zaczynają się kojarzyć nielogicznie, drogą asocjacji i reminiscencji, zrasta się jakby przypadkowo jakimś subiektywnym prawem doboru. „Zapisywałem ciśnie- ności, notowałem niewyraźne; chwytalem zawroty głowy“ — opowiada później na o- statnich stronach „Sezonu“. O kilkanaście wierszy dalej wyznaje: „Skończyłem na uświęceniu nieporządku mojego umysłu“.

Poemat prozą, gatunek literacki wprowadzony przez nieznanego za życia roman- tyka, Aloysiusa Bertranda („Gaspard de la Nuit“, 1842), uprawiany również przez Baudelaire'a, u obu tych autorów był poe- tycką anegdotą, obrazkiem, rozwinęta, przenośnią czy parabolą, obrazową reflek- sją. U Rimbauda poemat prozą staje się poszarpaną kanwą myśli, wrażeń, wizji... Pod wpływem „Illuminacji“ miała się póź- niej rozprószyć we Francji proza poe- tycka, sprowadzona do luźnej gry wrażeń i przenośni. Te mało znaczące zapiski li- ryczne nigdy zresztą nie przydawały czy- telników. Zabrakło w nich rzeczy najważ- niejszej — wysokiej temperatury, która wytwarza się u Rimbauda w procesie we- wnętrznego rozbitcia, żaru spalania się du- chowego przed ostatecznym zamknięciem.

Rimbaud ludzi się, że bada i zgłębia swoją naturę ludzką, przypisywał tej prak- tyce wartość poznawczą. Zamiłki, kiedy stracił złudzenia. Albo raczej — złudzenia te stracił, kiedy się w nim dopalił cały ma- teriał zebrany w krótkim doświadczeniu życia.

W „Sezonie“ Rimbaud krytycznie zasta- nawia się nad swoją praktyką literacką:

„Starzyzna poetycka miała znaczny u- dział w mojej alchemii słowa. Przyczyna- jałem się do prostej halucynacji: z łatwo- cią widziałem meczet zamiast fabryki, szko- łę bębniistów prowadzoną przez aniołów, karoce na drogach niebieskich, salon na dnie jeziora; potwory, tajemnice; tytuł wodewilu przywoływał mi obrazy okropno- ści.“

Później tłumaczyłem moje sofizmaty ma- giczne halucynacją słów.“

Wielka siła wyobraźni literackiej, oder- wana od praktyki życiowej, zaczęła przy- tacać świat obserwowany. Zatraciła się różnica między członami porównania, znik- nął łącznik logiczny „jak“, przypomnienie wywołane przedmiotem obserwowanym u- zyskało ten sam stopień realności co sam przedmiot. Rzeczywistość i dorzucana do niej metafora zespoliły się w jednym ima- ginacyjnym bycie. „Zdawało mi się, że każ- demu stworzeniu jest przydane wiele in- nych istot. Ten pan nie wie co robi, on jest aniołem. Ta rodzina jest czeredą psów“.

Poeta katolicki Paul Claudel nazywa au- tora „Illuminacji“ mistykiem w stanie dzi- kim. Niewydarzony to mistyk, który oby- wa się bez wiary religijnej. A jednak o- kreślenie Claudela, mogące wywołać wiele nieporozumień, zawiera trafne słowa, tylko że nie najlepiej ułożone. Wypadałoby po- wiedzieć: przywidzenia Rimbauda przypo- minają mistykę dzikich.

Znakomity badacz świadomości ludów pierwotnych Lucien Levy-Bruhl określa ich umysłowość jako mistyczną i magiczną. Stan rozwoju gospodarczego i społecz- nego nie doprowadził ich jeszcze do logicz- nego rozumowania, do odkrycia prawa przyczyn i skutków. Świat ich jest przepel- niony siłami, których nie można zaobser-

*) Z przedmowy do „Poezji wybranych“ Ja- na Artura Rimbauda, które mają ukazać się w „Bibliotece pisarzy polskich i obcych“, na- kładem „Książki“.

JAN ARTUR RIMBAUD

DZIECINSTWO

I

Ten bożek, o czarnych oczach i żółtej szerści, bez krew- niaków i dworu, szlachetniejszy od bajki, meksykański i fla- mandzki; jego państwo błękit i zuchwała zielen; błękitnie po- plażach, którym fale bez okretów nadały okrutne nazwy greckie, słowiańskie, celtyckie.

Na skraju lasu — wysnione kwiaty dzwonią, rozkwit-ają, oświecają — dziewczyna o pomarańczowej wardze skrzyżowała kolana w jasnym potopie, który tryska z łąk, nagość którą ocienia, przekracza i stroi tęcza, flora, morze.

Damy które krążyły na tarasach schodzących ku morzu, dziecięce i gigantyczne, wspaniałe murzynki we mchu gryn- szpanowym, klejnoty stojące na tłustej ziemi zagajników i topniejących ogródków — młode matki i duże siostry o spojrzaniach pełnych pielgrzymek, sułtanki, księżniczki o tyranicznym chodzie i stroju, małe eudziemki i osoby lagodnie nieszczęśliwe.

Co za nuda, godzina „kochanego ciała“ i „kochanego serca“.

II

„To ona małeńka umierała za krzakami róży. Mateczka nieboszczka schodzi z tarasu. Karetka kuzyna skrzypi po pi-asku. Braciszek (jest w Indiach) opodal przed zorzą wieczorną, na klombie goździków. Starcy, których pogrzebano wypro- stowanych w okopie, gdzie rosną lewkonie.“

Rój złotych liści otacza dom generała. Są na południu. Czerwona droga prowadzi do pustej oberży. Zamek jest na sprzedaż, wyrwane są żaluzje. Proboszcz zabrał klucze od kościoła. Dookoła parku niezamieszkałe domki strażników. Parkan jest wysoki, że widać tylko szumiące wierchołki. Zresztą nie ma tam nic do oglądania.

Łaki podchodzą do wiosek bez kogutów, bez kowadeł. Służa jest podniesiona. O-krzyże na wzgórkach i młyny pust- kowia, wyspy i żarna.

III

Kwiaty magiczne buczały. Pagórki je kołysały. Bydłęta elegancie jak w bajce krążyły. Obłoki gromadziły się nad pełnym morzem utworzonym z wieczności gorących łez.

IV

W lesie jest ptak, jego śpiew zatrzymuje was i przypra- wia o rumieniec.

Jest zegar, który nie bije.

Jest trzęsawisko z gniazdem białych zwierząt.

Jest katedra, która zstępuje i jezioro, które się wznosi.

Jest wózek porzucony w zagajniku, albo staczający się po ścieżce, przybrany wstążkami.

Jest trupa małeńkich aktorów w kostiumach, widzisz ich na drodze wzdłuż ściany lasu.

Jest wreszcie, kiedy czujecie głód i pragnienie, ktoś kto was wypędza.

V

Jestem świetnym w modlitwie na tarasie, kiedy zwie- rzęta pasą się aż do morza Palestyny.

Jestem uczonym w ciemnym fotelu. Głębie i deszcz biją w okna biblioteki.

Jestem piechurzem na wielkiej drodze w karłowatym le- sie, hałas słuz zagłusza moje kroki. Długo oglądam melan- cholią, przepierkę w złocie zachodu.

Mógłbym być dzieckiem porzuconym na wyspie pływ-ającej na pełnym morzu, małym chłopcem do posług idącym aleja, której czoło dotyka nieba.

Ścieżki są kłujące. Pagórki okrywają się janowcem. Po- wietrze jest nieruchome. Jak odległe są ptaki i źródła! Dalej może być tylko koniec świata.

VI

Niech mi w końcu wynajmą ten grób pobielany wapnem z wypukłymi liniami cementu — głęboko pod ziemią.

Opieram łokieć na stole, lampa żywo oświeca te dzien- niki, które odczytuję — co za głupiec — te książki bez zna- czenia.

W ogromnej odległości ponad moim podziemnym salo- nem domy się krzewią, mgły się gromadzą. Błoto jest czer- wone lub czarne. Miasto potworne, noc bez końca!

Niżej są ścieżki. Po bokach nie poza grubością globu. Może otchłaniać lazuru, studnie ognia? Na tych może płaz- czynach spotykają się księżyc i komety, oceany i bajki.

W chwilach goręczy wyobrażam sobie kulę z szafiru, z metalu. Jestem panem ciszy. Czemu kształt piwnicznego o- kienka miałby majaczyć w rogu sklepienia?

Przełożył Jan Kott

ROBOTNICY

Ten ciepły poranek w lutym. Wiatr południowy nie w porę przypomniał nam nasze absurdałne ubóstwo, naszą młoda nędzę.

Henryka miała wełnianą spódnice w białe i brązowe kwadraty, noszona ją pewno w zeszłym wieku, czepek z wstążkami i jedwabny szalik. Było to smutniejsze od za- loby. Jeździliśmy za miasto. Dzień był pochmurny, wiatr południowy przynosił wstrętą woń spustoszonych ogrodów i wysychających łąk.

Nie męczyło to chyba mojej żony w tym samym stopniu co mnie. W kaluży, zostawionej przez powódź z zeszłego mie- siąca na dość wysokim wzgórzu, pokazała mi małeńkie ryby.

Miasto ze swym dymem i odgłosami zajęę szło za nami długo po drogach. O! inny świat, ludność błogosławiona przez niebo i cienie drzew. Wiatr południowy przypomniał mi żalosne wydarzenia dzieciństwa, rozpaczę latem, potwor- ną ilość siły i wiedzy, którą los oddał zawsze ode mnie. Nie! nie spędzimy lata w tym niegościnnym kraju, gdzie będziemy zawsze tylko zmęczonymi sierotami. Chcę, aby to stwardniałe ramię nie ciągnęło już za sobą drogiego obrazu.

PORANEK UPOJENIA

O moje Dobro! O moje Piękno! Okrutna fanfara przed którą nie zadrze! Czarodziejski trójgłos! Hurra za dzieło niezwykle i za cudowne ciało, po raz pierwszy! Za- częło się to przy śmiechach dzieci, skończy się przez nie. Tru- cizna zostanie w naszych żyłach, nawet wtedy, kiedy po odejściu fanfary oddani zostaniemy dawnej nieharmonii. O teraz, my tak godni tortur, przypomnijmy żarliwie tę nad- ludzką obietnicę, uczynioną naszemu ciału i naszej duszy stworzonym: ta obietnica, ten obłęd, Elegancjo, wiedz, prze- mocy! Obiecano nam zakopać w mroku drzewo dobrego i złego, wygnąć przywrotność tyrańską, abyśmy mogli spro- wadzić naszą bardzo czystą miłość. Zaczęło się to od jakie- goś niesmaku i kończy się — nie mogąc nas natychmiast od- dać wieczności — kończy się ucieczką zapachów.

Śmiech dzieci, dyskretna niewolników, surowość dziewię- tystu, wstręt do twarzy i przedmiotów tutejszych, bądźcie błogo- sławione za wspomnienie tej nocy bezsennej. Zaczęło się od zwyczajnego prostactwa, oto kończy się aniołami z płomie- nia i lodu.

Krótką noc upojenia, światła! choćby tylko za maskę, któ- rą nas obdarzyłaś. Potwierdzamy ciebie metodo! Nie zapomi- nmy, że uczyniłaś wczoraj sławnym każde z naszych stule- ci. Wierzmy w trucinę. Bądźmy umieli oddać nasze całe życie każdego dnia.

Oto czasy Morderców.

POŻEGNANIE

Już jesień! — Ale pociąławać wiecznego słońca, skoro zobowiązaliśmy się do odkrycia boskiej jasności — zdala od ludzi, którzy umierają na pory roku.

Jesień. Barka nasza unoszona w nieruchomych mgłach skłreca do portu nędzy, ogromnego miasta o niebie splamio- nym ogniem i błotem. Ach! gnijące łachmany, chleb maczany w deszczu, pijanstwo, tysiąc miłości, które mnie ukrzyżo- wały! A więc nie będzie nigdy końca tej strzydze — króło- wej milionów dusz i ciał umarłych, KTORE BĘDĄ SĄDZO- NE. Widzę się z ciałem żartym przez błoto i zarazę, z ro- bactwem we włosach i pod pachami, i jeszcze większym ro- bakiem w sercu, leżę pomiędzy obcymi bez wieku, bez u- czucia... Mógłbym tam umrzeć... Potworna wizja! Wyklanam nędzę.

I lękam się zimy, ponieważ jest to pora komfortu!

— Widzę czasami na niebie niekończące się plaże pełne radosnych białych narodów. Wielki złoty okręt nade mną porusza różnokolorowymi chorągiewkami w porannej bryzie. Stworzyłem wszystkie święta, wszystkie triumfy, wszystkie dramaty. Próbowałem wymyśleć nowe kwiaty, nowe ciała, nowe języki. Wierzyłem, że mam nadprzyrodzoną władzę. — I cóż! muszę pogrzebać moją wyobraźnię i wspomnienia. O- debrana piękna sława artysty i bajora.

Ja! Ja, co miałem się magiem lub aniołem, uwolnionym od wszelkiej moralności, wrócony zostałem ziemi, mam szu- kać obowiązku i ścisła chropowatą rzeczywistość. Głupcze!

Czyż zostałem oszukany? czyż miłosierdzie będzie dla mnie siostrą śmierci?

W końcu, będę prosił o przebaczenie, że karmiłem się kłamstwem. Chodźmy już.

I ani jednej przyjaznej dloni! I skąd czerpać pomoc?

wować, równie realnymi, jak zjawiska obserwowane. W każdym doświadczeniu przejawiają się równocześnie oba światy, nierozdzielnie ze sobą zespolone. Słowem „każdemu stworzeniu jest przydane wiele innych istot”. Ten pierwotny mistycyzm nie wiele ma wspólnego z wierzeniami religijnymi w ustalonej postaci, nie wytwarza jeszcze mitów o bogach, posługuje się magią.

Fundamentalne prace Levy - Bruhla¹⁾ rzucają światło nie tylko na umysłowość ludów pierwotnych, ale i na cechy dziecięcej umysłowości, w której jawnie lub skrycie pokutuje, niezależnie od wiary religijnej, wpałanej przez otoczenie, ów pierwotny mistycyzm i związane z nim praktyki magiczne. „Szekspir dziecięcy” — tak nazywał Rimbaud Wiktor Hugo, który lubił nadawać współczesnym szumne epitety — odnalazł te skłonności w swoim rozbięciu duchowym i zaufał im na chwilę. Niezwykle rozwinięta inteligencja młodocianego komunarda, spłoszona okropnością świata, zderzyła się z magią dziecięcą, z której jeszcze nie zdążył wyrosnąć. Efektem tego zderzenia były „illuminacje”.

Dobrowolne przymierze z dzieciństwem zawarte przez Rimbauda widać nie tylko w cechach pre-logicznego myślenia. Jeszcze wyraźniej mówią o tym przemiany, odbywające się w „Nowych wierszach i piosenkach” z lat 1872—73.

Pasja życia, ciekawość świata, gorączka uczuć zaczyna ustępować i oto melancholijny obrazek „Lza”. Można porównać ten wiersz z widzeniem sennym, kiedy śniący obserwuje odczepioną od siebie własną postać, interpretując swój wygląd i czynności. Tyle w tym tajemniczej atmosfery, a on tylko chciał napić się wody... Wersz następny „Rzeka Porzeczkowa” („La Riviere de Cassis”) według określenia Rimbauda ma być zanotowaną ciemnością nocną. Znowu motyw rzeki i picia, ale tutaj to połącze-

nie pozostawiono raczej domysłowi czytelnika. Domyslać się można, że źródłem tej nierzeczywistej rzeki jest nalewka z porzeczek — do tego źródła prowadzi nas ostatnie zdanie. Wyobrażenia, które przelewają się w bieg tego wiersza, mówią nam znacznie więcej. Nurt rzeki zatracą o „tajemnicę dawnych czasów”, o motywy rycerskiego średniowiecza, do których przez cały wiek XIX uciekali poeci zrażeni do świata. Te drażniące tajemnice, jak je nazywa Rimbaud — są to pokusy romantyków. Ocieiera się o nie mimochodem, ale się im nie poddaje, dochodzi do innych konsekwencji, nieznanym jego poprzednikom; a bliskich późniejszym pokoleniom poetyckim na Zachodzie.

Poeta, który chciał się wycofać do obserwacji najprostszycch popędów i zastąpić myśl o świecie elementarnymi doświadczeniami zmysłów, jak pragnienie i głód, stwarza sobie baśnię gardła i żołądka („Komedia pragnienia”, „Uczta głodu”), zasklepia się w przekornych fantazjach niegrzeczności chłopca i układa z rozmysłu baśnię, jakby przypadkowo kojarzone wierszyki podobne do dziecięcych przyspiewów. Wyobraźcie sobie dwoje dzieci bardzo inteligentnych, które nasłuchiwały się bajek tudzież sentencji moralnych i zamiast w zielone bawia się w rymowane. Jedno rzuca zdanie, drugie dopowiada do rymu:

O saisons, o chateaux.
Quelle ame est sans défauts?

Francuz, który przeczytał ten dwuwiersz, zapamięta go na zawsze. Po polsku, znacząco to tyle:

O pory roku, o zamki,
Czyjaż dusza nie ma skazy?

Te rymy i zwrotki, głęboko osadzone w tradycjach języka, w kulturze kraju, stają się nieprzetłumaczalne. Żyją oczywistością współbrzmienia, urodą dźwięku, kształtem

wypowiedzianej myśli, tą łatwością liryki ludowej, dzięki której poezja nie pisana przechodzi pamięciowo przez pokolenia. Przypominają zwrotki ludowe rymowane bez logicznego związku, tylko że obok pojęć popularnych odzywają się w nich echa motywów klasycznych i tradycji literackich, kręcą się bez przydziału postaci z legend i mitów („Komedia pragnienia”). Przekład może bardziej lub mniej wiernie oddać grę czy zabawę wyobrażeń w tej baśniowej poezji, ale urok zabawy, intonacja, melodyka, cała uroda tkwi w tradycji języka i kultury francuskiej. Elementy, które cudzoziemcowi mogą się wydać bardzo wymyślne, dla czytelnika francuskiego zlewają się w tok znajomy, czysty i oczywisty.

Droga, którą przebiega Rimbaud w ciągu trzech lat — od żarliwego zainteresowania światem i skłonności realistycznych do polawiania halucynacji i do tej poezji baśniowej, którą trudno nazwać inaczej, była wytknięta buntem, walką, rozpaczą, rozbięciem wewnętrznym... Ale na tej drodze Rimbaud stał się sobą bogactwo materialnego świata, bogactwo realiów, bogactwo ożywionej wyobraźni, bogactwo treści, we wszystkich swoich fazach ta poezja była gestym wyciągiem z życia, barwy i aromatu epoki.

W ciągu tych trzech lat dokonał przewrotu, wywołując bardzo rozmaite następstwa. Dawał przykład poetom jak sięgać do materii życia, udzielał pasji poetom protestu społecznego. Symboliści wielbili w nim śmiałego symbolistę. Miłośnicy impresjonizmu przejmowali się czarowną grą wrażeń. Surrealiści francuscy obnosili się z jego odnalezionym w 1912 roku „Listem jasnowidza”, dziwnym dokumentem młodzieńczego kuglarstwa. Poezja oderwanych obrazów i pojęć rozwijała się pod urokiem jego ostatnich wierszy. Meteor, który zjawiał się i rozbił w 1871, wypromieniował ca-

łą gamę fal, kolejno badanych i podchwytywanych aż do naszych czasów. Niezależnie od tych zmiennych nastrojów literackich można wyodrębnić trwałą ogólną wpływ Rimbauda na kulturę poetycką nie tylko na Zachodzie i określić wymagania, jakie po doświadczeniach Rimbauda stawia się poezji wszędzie.

Doświadczenia te ośmieliły metaforę, pobudziły ruch wyobraźni, wzmocniły nacisk na obraz i zestawienie obrazów — jako czynniki wzruszenia. Obrazowanie stało się dobitniejsze, opis — skrótowy. Przyspieszyło się wewnętrzne tempo wypowiedzi poetyckiej, zagaścił się ładunek wkładanej w nią treści. Zakres form przyjętych rozszerzył się na wiersz wolny i wiersz biały, — zmieniły się także zasady rymotwórstwa.

Te zmiany kultury poetyckiej mają, jak wydaje się, charakter nieodwracalny i jakiegokolwiek wymagania — zechcemy stawiać poezji dzisiejszej lub jutrzejszej, nie można ich przekreślić.

Adam Wazyk

¹⁾ Klasyczny rym francuski wymaga nie tylko zgodności dźwięku, ale i bezwzględnej zgodności liter w zakończeniu rymowanych wyrazów.

²⁾ Chers corbeaux délicieux — to określenie z wiersza „Kruki” powtarza się w późniejszym tajemniczym wierszu „Rzeka Porzeczkowa”.

³⁾ „Rece Joanny Marii” w niezwykłym celnym przekładzie Antoniego Słonimskiego.

⁴⁾ Główne dzieło: „Les fonctions mentales dans les sociétés inférieures” 1909. — („Czynności umysłowe w społeczeństwach niższych”). W późniejszych uzupełnionych wydaniach: „La mentalité primitive” („Umysłowość pierwotna”). Na współczesną sztukę francuską prace Levy-Bruhla wywarły co najmniej taki wpływ, jak słynne „Muzeum człowieka” w Trocadero. Jest to jeden z tych wpływów podskórnych i wstydliwych, których ujawnienie bywa dla artystów żenujące.

JAN MUSZKOWSKI

Drogi upowszechnienia książki¹⁾

SPRAWY książki: polityki wydawniczej, systemów produkcji, obiegu i rozpowszechnienia, które były dawniej domeną garstki specjalistów, znalazły się obecnie w ośrodku aktualnych zainteresowań społecznych. Witając ten obaw z żywą radością, pragnąłbym skorzystać ze sposobności, ażeby wypowiedzieć garść uwag dotyczących dzisiejszego ukształtowania tych spraw w Polsce.

Dobór książek i ich wyprodukowanie, doprowadzenie ich do najbardziej potrzebujących polaci i punktów kraju i wreszcie osiągnięcie maksymalnej recepcji ich treści przez jak najszersze masy ludności — wszystko to stanowi łańcuch czynności i procesów tak ściśle i nierozdzielnie z sobą powiązanych, że pragnąc umasowić czytelnictwo, trzeba otoczyć troskliwą a zwłaszcza równomierną i stałą opieką wszystkie trzy powyższe fazy życia i oddziaływać na książki.

Przed wszystkim zatem powinniśmy mieć odwagę spojrzeć prawdzie w oczy i zdać sobie sprawę ze

STANU CZYTELNICTWA W POLSCE.

Nie mam tu na myśli objawów analfabetyzmu (wytoczone mu zręszą niedawno intensywną walkę, która jednak nie mogła dać jeszcze w tak krótkim okresie czasu widomych wyników), jakkolwiek wyłącza on pewną część społeczeństwa od wszelkich obcowania kulturalnych za pośrednictwem druku — lecz stosunek do książki ogromnych, nieprzeliczonych rzesz tych naszych obywateli, którzy posiadają wprawdzie techniczną umiejętność czytania i pisania, ale czynią z niej użytek najwyżej do celów zaznajamiania się z treścią obwieszczeń urzędowych czy wywieszek reklamowych, w najlepszym razie przesyłabizowania z trudem, i to tylko od czasu do czasu, gazety, wreszcie — podpisywania swego nazwiska na takich czy innych dokumentach. Znaną też jest powszechnie rzeczą, że część tych ludzi popada z biegiem czasu w analfabetyzm powrotny. Otóż ten właśnie odłam naszego narodu — z pewnością najmniej cenny pod względem społecznym a nieraz i intelektualnym (o ile chodzi o uzdolnienia wrodzone) od innych, a cenniejszy od życia umysłowego w jego przejawach piśmienniczych, ma stać się nade wszystko, głównym przedmiotem oddziaływań zmierzających do rozpowszechnienia czytelnictwa.

Nasuwa się tutaj podstawowe pytanie, jaki jest poziom umysłowy i cenzus wykształcenia mas robotniczych i chłopskich w Polsce?

Osobną grupę stanowią zastępy uświadomionych społecznie politycznie i zorganizowanych robotników, dorosłych, przygotowanych przez życie organizacyjne do rozumienia szeregu zagadnień życia politycznego, ale posiadających przeważnie dość znaczne luki w zakresie wykształcenia ogólnego; ci jednak, dzięki swej dojrzałości politycznej, posiadają własne źródła informacji i dalszego uświado-

mienia w różnego typu organach partyjnych, toteż nie stanowią podanego elementu dla oddziaływań czytelniczych, powszechnych, zwłaszcza zaś słabe wykazują zainteresowania dla literatury pięknej, wynoszącej — jak wiadomo — około 60% księgozbiorów bibliotek publicznych. W tej grupie więc przedmiot oddziaływań stanowić mogą kobiety i młodzież, elehnt przeważnie miejski (z wyjątkiem nielicznych stosunkowo ośrodków przemysłowych o charakterze wiejskim), żywy, bystry, ruchliwy, niezmienne podatny, o poziomie znacznie wyższym niż przeciętny w szerokich masach — słowem, najwrażliwszą publiczność dla wszelkiej akcji kulturalnej posługującej się kinem, radiem, teatrem, sportem (tu nie bez pewnych, czasem niepokojących przesłowań) a także prasą i poniekąd książką. Ale właśnie z tytułu tych właściwości element ten daje sobie radę nienajgorzej sam i w stosunku do niego należy dbać tylko o to, by książka była interesująca, dawała upust tęsknotom wybiegającym ponad szarżynę codzienności fabrycznej do dalekich krajów, niezwykłych przygód, wielkich przeżyć miłosnych, bohaterских zmagania się z niebezpieczeństwem i przeciwnościami lub wskazywała drogę do awansu społecznego. Prasa powinna być tu żywa, aktualna, nieunikająca sensacji, strzegąca się natomiast jak ognia wszelkiej dłużyzny, a przy tym poświęcającą jak największą miejscę wszelkim narzędziom działania kulturalnego, o których była mowa powyżej. Tak pojęte książki i gazety powinny być dla tego elementu wszędzie na podreżdziu, łatwo dostępne do przejrzenia, przeczytania, wypożyczenia. Lękam się jednak, że z publicznością tego typu nie rekrutują się klienci księgarń: pieniądza pochłania tu raczej sport (fetalizator — popierany nawet wyraźnie przez niektóre organy prasy), kino itp., w najniższej mierze — zeszytowe wydawnictwa sensacyjne. Na złą zaś i szkodliwą literaturę sensacyjną istnieje jedno tylko lekarstwo: literatura sensacyjna dobra. W tych kołach czytelników trzeba się liczyć ponadto z fatalnymi pozostałościami okresu wojny i okupacji, który wpłynął na wytrącenie młodzieży z normalnego biegu nauki szkolnej i na ogromne obniżenie poziomu postawy moralnej i zainteresowań umysłowych.

W daleko większym stopniu zawążyły następstwa te w odniesieniu do najszerszych mas naszych potencjalnych czytelników. Sześćdziesiąt czy nawet czteroklasowa szkoła powszechna typu przedwojennego stanowi tutaj, niestety, poziom osiągnięć rzadko; nawet wyjątkowo tylko, zarówno ze względu na nieznaczny liczbę dostatecznie rozbudowanych szkół w Polsce przedwojennej, jak i na zupełny niemal brak tych szkół podczas okupacji. I otóż, zanim będzie można przystąpić do ustalenia polityki wydawniczej, trzeba sobie zdać sprawę z podstawowego faktu, że mianowicie nie posiadamy prawie wcale piśmiennictwa, przystosowanego do tego poziomu. Ten typ piśmiennictwa zatem, potrzebny — jak ufam — tylko na pewien okres przejściowy, musi być dopiero stworzony. Jak dotąd, istnieją podręczniki dla dzieci i dorosłych, które nie są materiałem czytelniczym sen-

su stricto, albo przestarzałe, do niczego dzisiaj nieaktualne książeczki popularne, pisane wprawdzie przez wysoce utalentowanych działaczy, lecz nie stanowiących właściwych „ust dla dzisiejszych uszu”. A chodzi wszak o grupę najliczniejszą a przeto i najważniejszą z punktu widzenia akcji masowej: najpierw o ludność wiejską (z podobnymi zastrzeżeniami jak wyżej, o ile chodzi o częstotliwość zorganizowaną w stronnictwach, związkach, spółdzielniach itp., jakkolwiek tutaj poziom jest niższy niż wśród ludności skupionej w organizacjach robotniczych miejskich), oraz o znaczne zespoły mieszkańców miasteczek i małych miast, bardzo słabo w swojej większości wciągniętych w krąg oddziaływań kultury piśmienniczej.

Po tym wstępnym zorientowaniu się w charakterze przedmiotu oddziaływań czytelniczych, będzie można dopiero przystąpić do podjęcia pierwszej części zadania, tj. do zestawienia

DOBORU KSIĄŻEK.

jakie należałoby wydać. Nasuwa się tu na wstępie zagadnienie bibliograficzne, przy tym wcale nie nowe, lecz przeciwnie — posiadające już długą historię i dosyć poważne osiągnięcia. Można powiedzieć, że już od wieków, od czasu kiedy poczęła wzrastać produkcja druków, pojawiły się usiłowania do wyodrębnienia z całkowitego zasobu produkcji pewnych grup książek uznanych z tych czy innych względów za najlepsze. Ale zwłaszcza wiek XIX, zaskoczony jako nowością coraz wyższą, falą zadrutowanego papieru, grożącą zatopieniem najbardziej wartościowych pozycji, zabrał się z wielką energią do narzucającego się zadania selekcji. Dawniejsze zestawienia książek najlepszych dał Aimé Martin (Plan d'une bibliothèque universelle 1857) i Auguste Comte w dodatku do „Katechizmu, pozytywistycznego” (1846), rozpowszechniły się one jednak dopiero pod koniec wieku. Bardzo głośny był wykaz „stu najlepszych książek” zestawiony przez Johna Lubbocka (w książce przełożonej na język polski pt. „Powaby życia” 1890), który zapoczątkował nieskończoną liczbę wydawnictw tego typu, jednorazowych i seryjnych, kontynuowanych po dzień dzisiejszy, obejmujących czy to książki różnej treści, czy publikacje z poszczególnych dziedzin piśmiennictwa, w jednym języku, lub w wielu, przeznaczony do najróżnorodniejszych celów, jako przewodnik do studiów czy do lektury dla takich czy innych grup czytelników; podstawą klasyfikacji dzieł mogą być punkty widzenia ideologiczne, albo specjalizacja naukowa czy zawodowa, albo charakter grup czytelniczych, dla których wykazy te są sporządzane, ich przynależność społeczna, wiek, poziom itp. Wykazy bieżące roczne, międzynarodowe, oparte na informacjach poszczególnych krajów, wydawała przez szereg lat Komisja Współpracy Umysłowej Ligi Narodów (Paryż 1926 nast.).

U nas za klasyczne wydawnictwo tego typu w zakresie naukowym uważa się „Poradnik dla Samouków”, który wywarł na przełomie wieku wielki wpływ na parę pokoleń i

zachował, zwłaszcza w dziale humanistycznym, niemal ze pełnią żywotności do pierwszego wojny światowej; dalsze tomy przybrały charakter podręczników ściśle naukowych o wysokim poziomie, poświęconych wyłącznie poszczególnym specjalnościom przyrodniczym. Nieco później, w pierwszych latach tego wieku, sprawą doboru książek dla celów czytelnictwa i samokształcenia zajął się Wł. M. Kozłowski w szeregu swoich książek („Co i jak czytać”, Wyd. I—VI, Warszawa 1896—1932; „Jak czytać utwory piękne” 1909; „Wybór książek” 1912), oraz w czasopiśmie „Pogląd na Świat” (1899—1902), w którym współpracował m. in. Ludwik Krzywicki. Rewelacją poniekąd na owe czasy był pogląd, przyjęty już dzisiaj powszechnie, że literatura piękna stanowi doniosły czynnik wykształcenia ogólnego, nie mniej ważny od dzieł popularnonaukowych.

W okresie międzywojennym wielką akcję selekcyjno-informacyjną, podjęła na terenie Poradni Związków Bibliotekarzy w Warszawie Wanda Dąbrowska, dając zestawienia — po raz pierwszy w Polsce — oparte na gruntownej znajomości całkowitego rynku księgarskiego, w wyborze dokonywanym bardzo starannie przy udziale specjalistów z różnych dziedzin wiedzy; każdy tytuł zaopiniowany jest w krótkie, ściśle obiektywne streszczenie informacyjne, połączone z oznaczeniem stopnia przystępności. „Książka w bibliotece” daje wybór wydawnictw znajdujących się na rynku księgarskim w początkach 1933 r., „Przewodnik Literacki i Naukowy” obejmując lata 1933—35, wydawany następnie periodycznie jako miesięcznik w latach 1933/39. Po wojnie staraniem tejże niestrudzonej autorki ukazało się wydawnictwo pt. „555 książek” (1946) i wzrówno wydawnictwo „Przewodnik”, na razie pojawił się tylko Nr 1/2 z 1946 r., ale ostatnio otrzymałmy kilkunastotomowy tom w postaci kwartalnika za ostatnią ćwierć 1946 r. z dodaniem wykazu wydawnictw za 3 pierwsze kwartały 1947 r. Witamy wznowienie tej publikacji z żywym uznaniem i wdzięcznością. Największe bodaj jednak znaczenie dla naszych tutaj celów posiada rzecz tejże autorki „Biblioteka gminna, katalog podstawowy” (1939), który nie zdążył już odegrać przed wojną roli, do której był niewątpliwie powołany i którą zaczyna pełnić dzisiaj w całej rozciągłości.

Otóż nie jest szczególnie trudną rzeczą zestawienie na podstawie wymienionych powyżej przykładowo oraz niezmiernie licznych nie wymienionych źródeł obcych i polskich (pracowano nad tym u nas podczas okupacji w różnych ośrodkach konspiracyjnych i polemizowano też zawzięcie po wojnie w czasopiśmie „Literackim”) jakiegoś planu wznowień, który odpowiadałby w mniejszej lub większej mierze — w myśl wywodów powyższych — potrzebom elitarnego odłamu ludności robotniczej i chłopskiej. Niemniej jednak w najstarszych zestawieniach tego typu nie znajdzie się nie albo prawie nie dla najliczniejszych i najszerszych mas, które — jeżeli wolno mi wyrazić swoje zdanie — powinny być, przede wszystkim przedmiotem akcji upowszechnienia czytelnictwa.

¹⁾ por. Jacek Bocheński „Problemy akcji czytelniczo-bibliotecznej”, „Kuznica” Nr. 20 i Anna Kamińska „Głos w dyskusji o czytelnictwie”, „Kuznica” Nr. 25.

Jaki jest zatem cel tego działu piśmiennictwa, który, jak już wspominałem, wymaga dobrego stworzenia?

Chodzi tutaj o zachęcenie do czytania wielkich rzesz społeczeństwa polskiego, wynoszących z pewnością — na mocy ostrożnego szacowania, skoro nie posiadamy żadnych cyfr miarodajnych dla czytelnictwa powszechnego — więcej niż połowę całkowitej liczby ludności. Opiaramy się tutaj na przeświadczeniu, że jeżeli czytanie jest przyjemnością przysługującą poniekąd cechowi nałogu, to powinno być posiadaczą właściwością coraz głębszego wciągania w swoje bezkresne odmęty każdego, kto raz też przyjemności zakosztuje. I ten punkt wyjścia decyduje o powodzeniu całej akcji. Przeczekującemu czytelnikowi należy podać książkę, której przeczytanie **sprawiłoby mu przyjemność**. Pierwsza książka przeczytana z własnej i nieprzymuszonej woli, nie z rozkazu nauczyciela czy wychowawcy, powinna być jak pierwszy papieros lub jak pierwszy kieliszek wódki: ma być przyjemnym nowym, niezwykłym, trochę strasznym i oszłamiającym, nie pozbawionym pewnej dozy przykrości i podrażnienia, bo wprowadzającym w nowy świat spraw wielkich i tajemniczych, w którym nie wiadomo co może człowieka oczekiwać... Takie bodźce natury hedonistycznej, przeżywane coraz częściej nabierają z biegiem czasu cech nałogu czytelnictwa — a wtedy sprawa jest już wygrana. Chodzi już tylko później o przeprowadzenie stopniowej sublimacji smaku czytelnictwa; nawet w braku powołanego przewodnictwa (o które dzisiaj jest wszak dosyć łatwo na terenie świetlic, bibliotek i t. p.), powinna się ona dokonywać samorzutnie w miarę przyspieszania się czytelnika pewnymi grupami książek.

Nie znaczy to oczywiście, ażeby trzeba było w przygotowywaniu tej pierwszej książki rezygnować ze **stanowiska ideologicznego**, które jedynie może nadać głębszy sens całej akcji i odjąć jej przypadkowość spowodowaną przez smak literacki, zamiłowania czy specjalne nastawienie poszczególnych grup albo osób. Wylączone będą zatem wydawnictwa o najbliższym chociażby i ukrywającym pomiędzy wierszami odcieniu antydemokratycznym, wychwalające czasy minione, obracające się w kręgu pojęć wstecznych czy obarczonych naleciałościami szkodliwych tradycji i t. p., z unikaniem jednak wyraźnych akcentów propagandowych, na które jeszcze nie czas w tym pierwszym, wstępnym stadium czytelnictwa. Książka staje się tutaj zaledwie pierwszym krokiem na drodze do kultury i oświaty, środkiem do zdobycia zaczątkowej samowiedzy człowieka i obywatela.

Opierając się na zbadaniu przedmiotu oddziaływań czytelnictwa i narzędzia tych oddziaływań — książki (czego szkieletową próbkę starałem się dać powyżej), można by przystąpić do wypracowania **planu wydawniczego**. W tym zakresie mamy już pewne doświadczenia największej daty, które należałoby wykorzystać.

Po wojnie znaleźliśmy się na istnej pułstyni kulturalnej, m. inn. również i pod względem zasobów rynku wydawniczego, które stopniały niemal całkowicie w okresie okupacji, tzn. albo zostały masowo zniszczone świadomością przez Niemców, albo rozproszone się po księgozbiórach prywatnych, te zaś uległy, zwłaszcza w Warszawie ale także i w innych miastach i po wsiach, prawie zupełnemu unicestwieniu. Powstałe po wojnie wielkie przedsiębiorstwa wydawnicze współzawodniczyły od pierwszych chwil w szlachetnej ambicji zapelnienia tej próżni powołującej do życia rozbudowane na wielką, nieznaną u nas dotąd skalę „fabryki książek”. Było to zadanie niewątpliwie trudne i uciążliwe przy ówczesnym stanie środków technicznych i surowców, jak papier, warsztaty drukarskie i introligatorskie i t. p. — ale, jak okazały fakty, z biegiem czasu wykonalne, przynajmniej w przybliżeniu. Natknęło się natomiast na inną trudność, a mianowicie na brak materiału wydawniczego pod postacią rękopisów dzieł nowych nadających się do opublikowania. Po wyczerpaniu zasobu prac powstałych podczas wojny, którym udało się jakimś cudem uniknąć furii niszczylińskiej okupanta, trzeba było więc sięgnąć do materiałów dawniejszych, do wznowień, i wobec tego rozpoczęto na wielką skalę nie tworzenie ale nowa piśmiennictwa polskiego z punktu widzenia wymagan i potrzeb dzisiejszych, do czego warunki dawały tak znakomitą sposobność, lecz odbudowywanie przedwojennego rynku księgarskiego. Oczywiście, nie mam tu na myśli żelaznego zasobu tekstów piśmienniczych polskich, których odbudowanie było koniecznością i pierwszym obowiązkiem nakładców. Ale ponieważ liczba przedsiębiorstw nakładowych dosięgła szybko prawie trzech setek (w tej liczbie wielkie i poważne przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielcze, najstarsze i najlepiej wprowadzone firmy prywatne, oraz szereg aferyzistów wietrzących znaczne zyski) puszczono w ruch młyny poczęły mleć wszystko: nie tylko już mały pierwszy czy drugi gatunku, lecz mieszaninę zanieczyszczoną, coraz znaczącym procentem plew, a nawet i same plewy... Konia z rzędem temu, kto zdoła uzasadnić potrzebę wydania znacznej ilości książek powojennych z punktu widzenia dzisiejszego świata czytelnictwa polskiego.

Otóż wydaje mi się, że trudno byłoby zarażać temu wydawaniu książek na prawo i na lewo, że natomiast można by się oprzeć na zdecydowanym planie wydawniczym ułożonym celowo i rozważnie, ale skierowanym wyłącznie na czytelnictwo prawdziwie masowe (w rozumieniu niniejszego szkicu), o którym wprawdzie wszyscy mówią i piszą, ale dla którego nie zdziałano prawie nic pozytywnego, o ile chodzi o owe masy czytelników potencjalnych. Nie zapoznaję bynajmniej pożytecznej inicjatywy przedsię-

biorstw nakładowych wszelkiego typu w zakresie wydawnictw popularnych, bo wszystkie niemal poważne instytucje pracują na tym polu — ale nieporozumienie polega ciągle jeszcze na nie dosyć ścisłym rozróżnieniu poziomów, do których mają być przystosowane poszczególne książki tzw. „popularne”. Przypomnę tutaj dwie niezmiernie cenne kolekcje wydawnictw Mathesis Polskiej oraz Trzaski, Everta i Michalskiego sprzed wojny, które były uważane powszechnie, zarówno przez wydawców jak i przez publiczność, za wzory edycji popularno - naukowych, gdy tymczasem były to w istocie książki naukowe, tyle że napisane przystępnie i przeznaczone dla ludzi na najwyższym, akademickim poziomie, lecz nie specjalistów w danych dziedzinach wiedzy. Pamiętam też, że jeden z ostatnich ministrów oświaty Polski międzywojennej niezmiernie się dziwił, kiedy pozwoiliłem sobie zwrócić mu uwagę na nikłą rolę tych wydawnictw seryjnych dla sprawy czytelnictwa powszechnego, przy zupełnym zresztą docenianiu ich wartości naukowej.

Śmiem twierdzić, że wypracowanie ogólnego planu wydawniczego dla całej Polski, dla wszystkich działów piśmiennictwa i dla wszystkich przedsiębiorstw wydawniczych jest zadaniem niesłychanie trudnym, uciążliwym i wprost niewykonalnym. Gdyby, nawet plan taki mógł być ułożony, to życie przełamywałoby go w coraz innych miejscach i wreszcie byłbyśmy zmuszeni wyrzucić pokawałkową jego szkielety do kosza. Toteż dla utrzymania polityki wydawniczej ogólnej w jakichś jednolitych ramach wystarczałoby najzupełniej zastosować metodę obroną przy odbudowie Warszawy: starać się odratować to wszystko co posiada trwałą wartość zabytkową lub praktyczną, ale równocześnie stwarzać całkiem nowe dzielnice dla nowego życia w myśl wskazań urbanistyki współczesnej. Ułożenie zaś i wykonanie określonego planu należałoby ograniczyć wyłącznie do zaspokojenia potrzeb najszerzszych mas czytelników potencjalnych w tym przekonaniu, że zamierza się im podać ich pierwszą książkę. I dlatego pragnąłbym powitać z najwyższą radością inicjatywę Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, zwłaszcza o ile taki ma być jej cel i metoda.

Jednakowoż samo opublikowanie paru setek książek dostosowanych do najniższego poziomu czytelnictwa ludności nie decyduje zgola o rozwiązaniu problemu czytelnictwa powszechnego. Pozostają jeszcze do wypełnienia dwie nie mniej ważne funkcje: doprowadzenie nie odpowiedniej książki do rąk właściwego czytelnika i spowodowanie jak najpełniejszej recepcji jej treści.

Trzy posiadamy drogi, na których dokonują się zyczynianie

OBIEG KSIĄŻKI:

księgarską, biblioteczną (w połączeniu z operowaniem kompletami ruchomymi) oraz drogą bezpośrednich oddziaływań o charakterze oświatowym.

Droga księgarska, utworzona — zdawałoby się — już dostatecznie przez pięćset lat panowania „panteizmu druku” (Norwid), popada przeciwnie w coraz większe zaniechanie: jest pełna wybojów, kamieni, stojącej wody, jakby na przekór udoskonalonej technice nawierzchni drogowych naszych czasów. Ogólnoeuropejski kartel księgarski, utrzymujący kanon stałej ceny katalogowej i stałych rabatów sortymentysty, jest podważany coraz częściej z różnych stron. Spółdzielnie, z którymi przez lat tyle walczyło księgarstwo, odniosły dzisiaj wprawdzie zwycięstwo na całej linii, ale im bardziej spółdzielcy stają się księgarzami, tym lepiej uczą się doceniać pewne zasady i obyczaje tego zawodu. Z innej strony czynione są próby przeprowadzania podręczników bezpośrednio przez szkoły, co stanowi potężne zagrożenie sortymentu, zwłaszcza prowincjonalnego, który opierał swój byt na skromnych i sezonowych tylko, ale za to pewnych wpływach z tego źródła. Jeszcze inne memento dla księgarstwa przywaga stanowi nieznanie u nas dotąd rozmnożenie się księgarń i punktów sprzedaży utrzymywanych przez wielkie przedsiębiorstwa nakładowe typu państwowego i spółdzielczego. Jak wobec tego wszystkiego kształtuje się dzisiaj stosunek do sortymentu ze strony czytelnika w ogóle, w szczególności zaś naszych czytelników początkujących? Wydaje się być

rzeczą stwierdzoną w księgarstwie wielu krajów, że cena książki w nikłym tylko stopniu wpływa na jej zbyty: kto naprawdę pragnie książki, znajdzie na nią środki, kto nie kupuje książek w ogóle, tego nie skusi cena choćby najniższa. Nie w tanioci więc książek — jak sądzi ogół — tkwi sedno sprawy. I nie w rabacie księgarskim, który nie przestaje być u nas przedmiotem ataków niepowołanych don kiszotów i źródłem niekończących się nieporozumień. Co do naszego czytelnika potencjalnego, to ten nie kupuje oczywiście książek, chyba podręcznik szkolny dla dziecka; wynika to z samej definicji, ponieważ człowiekiem nieświadomym czytelnictwa jest ten, kto nie interesuje się książką a zatem z pewnością jej nie kupuje. Tutaj więc punkt ciężkości trzeba przenieść, jak zobaczymy poniżej, na biblioteki, świetlice itp.

Droga biblioteczna ma oczywiście wyższość nad drogą księgarską, o ile chodzi o czytelnictwo powszechne, ale tymczasem jeszcze olbrzymia większość mieszkańców Polski ma bardzo daleko do biblioteki. Naczelna Dyrekcja Bibliotek, która z głębokim oddaniem się sprawie, z zapałem i nieustraszoną energią realizuje ustawę o sieci bibliotecznej, montuje — i tak w niebawym u nas tempie — biblioteki powiatowe, mogą poświecić tylko drobną stosunkowo część rozporządzalnych środków i własnych wysiłków na biblioteki gminne. Pewien pożyteczny palatyw stanowią tutaj komplety ruchome, ale mimo to książka w zbyt niskiej mierze dociera bezpośrednio do czytelnika, gdy tymczasem powinniśmy gonić za nim, gdzie tylko może się znaleźć.

W każdym razie dopiero **droga bezpośrednich oddziaływań oświatowych** jest najsukcesyjniejsza, droga przez organizację, przez świetlice, przez kółko samokształceniowe, czytelnice lub inne. Wiem, że wiele robi się pod tym względem, ale tego wszystkiego jest ciągle jeszcze nie dosyć. Należałoby może pchnąć w teren setki młodych, ideowych, entuzjastycznie usposobionych adeptów pracy oświatowej, np. uczniów szkół pedagogicznych, studentów szkół akademickich i in. podczas części okresu urlopów wakacyjnych, którzy poszliby dośownie „w lud z książką” (coż za wdzięczne zadanie dla niektórych oddziałów Służby Polskiej). Zresztą uplanowanie i realizacja takiej czy innej akcji w tym kierunku musiałaby być pozostawiona specjalistom oświatowcom.

Przechodzimy wreszcie do ostatniego punktu, ale niewątpliwie najważniejszego, tj. do spożycia książki w sensie jak najpełniejszej recepcji jej treści ze strony czytelnika.

CZYTELNICTWO

współczesne ukazuje nam dwa oblicza: jednostkowe i grupowe, przy czym nie mam tutaj na myśli subtelnych i precyzyjnych różnic specjalnej psychologii czytelnictwa (N. Rubakin. Wstęp do psychologii bibliologicznej 1922), ani wyników badań innych uczonych i bibliotekarzy (badań zapoczątkowanych u nas przez Prof. Helenę Radlińską a kontynuowanych przez jej uczniów i uczennice na różnych warsztatach pracy) — lecz po prostu drogę książki do czytelnika i sposób jej użytkowania. Samo czytanie, ciche oczywiście, jest zawsze aktem jednostkowym i niektórzy socjologowie odrzucają nawet możliwość powstawania grup czytelników ze względu na ich stosunek do książki, dopuszczając jedynie tworzenie się tzw. kręgów, drogą sumowania owych aktów jednostkowych, a więc nie na podstawie więzi natury społecznej.

Czytelnictwo jednostkowe polega w znacznym mierze na powiązaniu użytkownika książki z jej posiadaniem, połączone jest zatem ściśle z bibliofilstwem, tj. miłośnictwem książki jako nosicieli pewnych treści kulturowych, ale również jako przedmiotu materialnego (nawet z niejaką przewagą w tym kierunku) zwłaszcza w wykonaniu artystycznym dostojnym do epoki dzieła, jego treści, formy itp. We wszystkich epokach gospodarki indywidualnej i gromadzenia bogactw przez jednostki — w świecie antycznym, Hellady i Rzymu, w średniowiecznej Arabii, w okresie Odrodzenia europejskiego, w dobie monarchii absolutnej, wreszcie w

najnowszych czasach kapitalizmu — wraz z kultem książki rodził się pod jej zdobieniem, do wytwórczości i przepychu, gromionych już nawet w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej przez ojców kościoła. Tworzenie bogatych, wspaniałych księgozbiórów (które bieg dziejów przetwarzała jednak stopniowo w biblioteki publiczne — i stąd płynnie uznawanie wielkiej zasługi społecznej ich założycieli) było dyktowane po części prawdziwym, szczerym zamiłowaniem, lecz niemniej snobizmem ludzi bogatych strojących się w piękne piórka aspiracji duchowych wyższego rzędu. Niekiedy — jak w przypadku miliardów amerykańskich — wielkie ofiary na biblioteki (Rockefeller wybudował przeszło 50 gmachów bibliotecznych na terenie Stanów Zjednoczonych) płynęły z chęci zjednania sobie opinii publicznej, oburzonej na różne machinacje wielkich koncernów przemysłowych.

Dzisiaj gromadzenie książek staje się równie utrudnione jak gromadzenie majątków, bo najpierw kureza się zarobki, a następnie — mieszkania prywatne, zwłaszcza u nas po zniszczeniach wojennych, gdy tymczasem książki wymagają wiele miejsca. Nawet na klady i księgarze, którzy byli najgorętszymi rzecznikami gromadzenia księgozbiórów prywatnych, rozumieją już dzisiaj, że muszą opierać swe rachuby przede wszystkim na zakupach bibliotek, organizacji i instytucji o charakterze publicznym. Przechodzimy bowiem wszyscy — czy chcemy, czy nie — na **czytelnictwo grupowe**. Polega ono na tym, że poszczególny egzemplarz książki nie pozostaje zamknięty pod kluczem, dostępny tylko dla właściciela, jego rodziny i osób bliskich — lecz kursuje z rąk do rąk aż do wyjścia z obiegu na skutek dezaktualizacji czy też wyczytania, tj. zniszczenia materialnego. Na tym miejscu interesuje nas oczywiście tylko ten drugi rodzaj czytelnictwa. Nie miejsce tutaj na wyliczanie różnorodnych typów instytucji bibliotecznych, ani na charakterystykę współczesnych, coraz bardziej wydajnych i precyzyjnych metod dokumentacji oraz pracy z książką. Ogłoszenie ustawy o sieci bibliotecznej obejmującej cały obszar Rzeczypospolitej, wyznaczenie dotacji państwowych na jej realizację (za którymi pójdą zapewne niezadługo dotacje samorządów terytorialnych), inne ważne zarządzenia w zakresie książki i bibliotek — wszystkie te zdobycze okresu powojennego otwierały nową epokę w dziejach naszego czytelnictwa. Ale wydajność akcji bibliotecznej, korzyści płynące z celowych ustaw, zarządzeń i założeń uzależnione są od warunków jak najściślej koordynacji wszelkich działań związanych z książką.

Samo zatem wydanie książki i rzucenie jej na rynek po niskiej cenie czy nawet za darmo — nie mówi nic o stanie czytelnictwa. Można mnożyć liczby wydanych książek w dziesiątki tysięcy, wysokość nakładów w miliony egzemplarzy — ale wszak nie o to chodzi. Dopuszczając stopień wykorzystania książki, tj. liczbę jej efektywnych czytelników (bo nawet nie nabywców) a następnie recepcję jej treści może dać pojęcie o wartości akcji wydawniczej. Ruch czytelnictwa daje się ująć za pomocą metody statystycznej, ponieważ każda porządnie prowadzona biblioteka notuje liczbę swoich czytelników, ich personalia i środowisko, liczbę odwiedzin w bibliotece, przeczytanych książek itp. Zsumowanie tych wszystkich danych mogłoby dać nam narezucie pierwsze realne wiadomości o całości kształtu czytelnictwa w Polsce. (Wielką ankietę tego typu na terenie całej Rzeczypospolitej podejmuje obecnie w porozumieniu z Naczelną Dyrekcją Bibliotek i Głównym Urzędem Statystycznym Biuro Badania Czytelnictwa przy Spółdzielni „Czytelnik”, znane już chlubnie z szeregu planowo i metodycznie wykonanych badań w skromniejszym zakresie). Natomiast stopień właściwej recepcji przeczytanych książek może ujawniać się tylko powoli i stopniowo we wzmacnianiu się kultury powszechnej, w podnoszeniu się poziomu moralnego, świadomości społeczno-politycznej itp. Wszak już Mickiewicz powiedział o oddziaływaniach książkowych, że „wolno rosną”. Ale i co do ruchu czytelnictwa rezultaty ankiety muszą dać na siebie czekać dosyć długo, a i potem wymagać będą bardzo sumiennego i krytycznego zbadania, ażeby mogły stać się podstawą nowej planowej akcji wydawniczej.

Ostatnim wreszcie sposobem doprowadzenia książki do właściwych rąk jest **organizowanie czytelników**. Są to zespoły czytelnicze organizowane albo samorzutnie, albo z inicjatywy przedsiębiorstw wydawniczych (angielskie Book Guild, niemieckie Büchergemeinschaft). Członkiem takiego klubu książkowego może zostać każdy, kto zobowiąże się do pewnych periodycznych świadczeń pieniężnych; wzajemian za to otrzymuje w przewidzianych z góry, stałych terminach, po niskiej cenie, książki produkowane tylko dla członków i nie znajdujące się w handlu; członkom daje się zwykle możliwość wywierania pewnego wpływu na dobór wydawnictw, podtrzymuje się z nimi korespondencję na temat lektury, nawiązuje się pomiędzy nimi stosunki towarzyskie itp. Z inicjatywy jednej z największych spółdzielni wydawniczych powstało u nas w ostatnich czasach parę takich klubów, które zyskały już podobno dziesiątki tysięcy członków. Niewiadomo tylko, czy członkowie ci nie rekrutują się spośród tej samej garści inteligentów, którzy są głównymi odbiorcami wszelkiej (poza podręcznikami szkolnymi i literaturą specjalną) produkcji wydawniczej i jeżeli nie prenumeratorem, to wyłącznymi niemal czytelnikami czasopism literacko-naukowo-artystycznych. Wkraczamy tutaj jednak w sferę czytelnictwa elitarnego, które nie należy już do naszego tematu.

PRZEGLĄD SOCJALISTYCZNY

Już ukazał się numer 5 „Przeglądu Socjalistycznego”

o następującej treści:

Lange O. — Przed konferencją lewicy socjalistycznej.
Świątkowski H. — W walce o jedno i pokój.
Ręczek Wl. — Problemy organizacyjne nowego etapu.
Arski St. — Majowy manewr Marshalla.
Kaduszkiewicz A. — Gospodarka kapitalistyczna w obliczu trudności powojennych.
Mula J. — Z dziejów myśli programowej PPS.
Anhalt M. — Granice kapitalistycznej techniki wytwarzania.

Kartki z historii socjalizmu:
J. M. — Adam Prochnik.
M. K. — Wspomnienie o Teodorze Durraczu.

Na horyzoncie:
W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.

Idee — Myśli — Zagadnienia:
Jabłoński H. — Historyczne przyczyny konserwatyzmu w Wielkopolsce.
Salcewicz J. — Zagadnienie Planu Technicznego.
Prągorowa E. — Drogi rozwoju polityki pracy w Polsce.
Karst R. — Polityczne żądło egzystencjalizmu.
Wojciechowski K. — Walka z analfabetyzmem.
Drobner M. — Robotnik jako konsument sztuki.
Fietkiewicz J. — Giuseppe Garibaldi.
Nowicki A. — Irlandia współczesna.
F. S. — Zasady powojennego systemu finansowego Polski.
Z życia partii.
Notatnik referenta.

Cena numeru zł. 40.—

Jan Muszkowski

HENRYK MARKIEWICZ

PRUS POD MIKROSKOPEM

MONOGRAFIA prof. Zygmunta Szwejkowskiego o Prusie*) jest rezultatem 25-letnich studiów nad pisarzem i jego epoką. Stanowi najkompletniejsze podsumowanie dorobku przedwojennej „prusologii” choć autor rzadko powołuje się na swych poprzedników. Wzbogaca swą monografię niejednym ciekawym poglądem, np. o związkach „Emancypantek” z okresem modernizmu. Jest ona przewodnikiem po rozległych, rozrzuconych i trudno dziś dostępnych obszarach publicystyki Prusa, o której informuje znacznie lepiej niż książka Ludwika Włodki (1918). Włodek bowiem (pominawszy już fakt, że starał się zanegować całkowicie Prusa dla obozu prawicy), chciał z jego poglądów wyprowadzić w ciągu lat blisko czterdziestu, skonstruować jednolity i harmonijny system i przy tym bez wahania szeregował obok siebie streszczenia i wyjątki z artykułów Aleksandra Głowackiego, wypowiedzi autorskie w powieściach Prusa i słowa jego bohaterów. Szwejkowski postępuje znacznie słuszniej, przedstawiając poglądy pisarza dialektycznie, a w oddzieleniu powyższych trzech typów sądów jest bardziej skrupulatny. Wreszcie — niewątpliwa zaleta książki jest jej stylizowana rzetelność, konkretność, daleka od nieodpowiedzialnego patosu, który nasze pokolenie tak zraża do prac literacko-naukowych, nawet stosunkowo niedawnej przeszłości.

Mimo to wszystko jednak książka w całości nie spełnia wymagań, jakie trzeba dziś stawiać monografii naukowej o wielkim piśmaku.

Tytułem monografii — „Twórczość Bolesława Prusa” — Szwejkowski podkreślił ergocentryzm*) swojej postawy badawczej. Ale należałoby tu mówić raczej o — ergo — so-lipsyzmie. Szwejkowski napomyka czasem o związkach literatury z innymi dziedzinami rzeczywistości, ale bliżej się nim nie interesuje. Jedynie to — poza małymi furtkami dla biografii i psychologii — na którym umieszcza dzieła Prusa to sąsiadując z nim czasowo poglądy społeczne, filozoficzne, estetyczne, zawarte w jego publicystyce. Oczywiście, byłoby nierozsądnie rezygnować ze świata, jakie poglądy te rzucają na utwory beletrystyczne pisarza, i to pisarza intelektualisty, o silnie rozwiniętej samowiedzy twórczej, o wysokim poczuciu odpowiedzialności społecznej za słowo. Szwejkowski pousunął się jednak za daleko w swej ufności wobec autora „Kronik tygodniowych”. Aleksander Głowacki zakłada swemu monografistcie okulary, przez które ten ogląda powieści Bolesława Prusa, wyznacza problematykę naukową książki. Niezawsze trafnie: przykładem „Faraon” wcisnięty w prokrustowe łóżko teorii o najogólniejszych ideałach życiowych. Z drugiej strony — lojalność Szwejkowskiego wobec sformułowanych przez autora intencji dzieła zwraca się przeciw dziełu samemu, bo zuboża jego zawartość. Dyskusja o „Lalece” dowiodła, jak złą przysługę oddawał książce ten, kto dostrzegał w niej przede wszystkim „naszych polskich idealistów na tle społecznego rozkładu”, choć przecież takie określenie wyszło spod pióra autora, na pozór najbardziej miarodajnego w tej sprawie. W konsekwencji — przepada całkowicie dla Szwejkowskiego tak frapujące zagadnienie rozbieżności między poglądami teoretycznymi pisarza a wy-mową jego dzieła (Wyjątkowy wypadek stanowi analiza „Emancypantek”, w których optymizm wykładu prof. Debickiego zbyt sprzeczny jest z ponurym obrazem życia zawartym w powieści, by można to było przeoczyć). Trudno w związku z tym nie zacytować Georga Lukacsa: „Naszym zdaniem nie należy interpretować dzieł wybitnych twórców na podstawie ich teoretycznych wypowiedzi. Ogólnoludzkie znaczenie tych dzieł polega bowiem prawie zawsze na tym, że te spośród konfliktów danej epoki, które w śmiałych, nieustraszonych próbach myślenia osiągały w najlepszym wypadku uczciwie wyrażone sprzeczności — stawiając często „tak” i „nie” bezpośrednio obok siebie, a czasem nawet zastępując na stanowisku to fałszywym, to reakcyjnym — w dziełach osiągały najwyższą dynamikę, możliwą w danej rzeczywistości historycznej.

W większości wypadków jest to coś więcej niż artystyczne ukształtowanie fragmentarycznych myśli. Jest to korekta, którą proces kształtowania rzeczywistości, jej fanatycznie do końca doprowadzone odbicie, a więc ostatecznie sama rzeczywistość przeprowadza w mylnych tendencjach myślowych twórcy”. („W poszukiwaniu obywatela”, „Twórczość”, 1947 r. Nr 11, s. 73. — Podkr. moje).

Niesłusznie jednak napisałem wyżej, że taka problematyka dla Szwejkowskiego przepada; ona dla niego właściwie w ogóle nie istnieje. Autor nie stawia sobie bowiem nigdy pytania, czy i o ile obraz współczesności w utworach Prusa odpowiada rzeczywistości pozaliterackiej, nie mówiąc już o tym — jakże przyczyny wywołały jego deformację w określonym kierunku. Tu są granice autorskiej lojalności wobec Prusa, który przypisywał literaturze doniosłe znaczenie

poznawcze, równe niemal znaczeniu nauki. Szwejkowski poprzestaje jednak na tym, że konfrontuje, dółgudziej: wykazuje zgodność obrazu powieściowego z konstatacjami publicysty. Dowód jest zresztą wątpliwej wartości: badacz doszukuje się w powieści takiego sensu poznawczego, jaki znalazł w publicystyce, a w publicystyce wybiera te problemy, które podsunęła mu powieść.

Sprawa genezy poszczególnych utworów zajmuje w monografii miejsce skromne. O to nikt by nie miał pretensji do autora, bo problematyki badawczej narzucać nie można. Ale kiedy już Szwejkowski stawia hipotezy genetyczne, ogranicza się do wąskiego kręgu biografii i psychologii.

Przykład pierwszy: Szwejkowski stwierdził i doskonale udokumentował, że ok. r. 1883 załamuje się wiara Prusa w wartość współczesnego społeczeństwa, na miejscu „ręczowego optymizmu społecznego” pojawia się pesymizm i zwątpienie w postęp. Dlaczego? Autor książki tłumaczy to „chwijną podstawą psychologiczną”, a „przede wszystkim niepowodzeniem Prusa jako redaktora „Nowin” (1882—1883). Zupełnie natomiast nie bierze pod uwagę ówczesnej sytuacji społecznej. Początek lat osiemdziesiątych to przecież okres szybkiego wzrostu przemysłu w Królestwie, koncentracji produkcji, a jednocześnie zaostrenia się przeciwieństw rozwoju kapitalistycznego. W latach 1882—1883 przez kraj przechodzi fala konfliktów fabrycznych i strajków. W kwietniu 1883 r. wybucha strajk 8.000 żyrardowskich tkaczy. Dochodzi do krwawych zajeść. Równocześnie rozpoczyna się gwałtowny kryzys przemysłowy, który trwa do r. 1885.

Na takim tle łatwo zrozumieć dramat „straconych złudzeń pozytywisty i ostrzeżenia wychowawcy mieszczaństwa w artykule „Co to jest socjalizm”: „Mamy pracę i niedzę, próżniactwo i zbytek, nieświadomość i wy-zysk, większą lub mniejszą świadomość swoich praw i niemożność korzystania z nich. Mamy szybko mnożącą się ludność i powolny rozwój środków utrzymania jej. Mamy istoty jednego gatunku, rozdzielone całą przepaścią bogactwa, przywilejów, zwyczajów i oświaty. Mamy słowem — cały, dromat społecznego życia, snujący się od wieków, wnikający się z każdym dziesiątkiem lat” („Nowiny”, 1883).

Przykład drugi: sprawa „nawrócenia” Bolesława Prusa: około r. 1887 ten „fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych”, ongi nawet zwolennik materializmu, zwraca się do idealizmu filozoficznego, aprobuje religię. Świadectwem przemiany jest m. in. znany wykład prof. Debickiego. Szwejkowski wyjaśnia tę sprawę w sposób b. prosty: przede wszystkim natura. Głowackiego miała bardzo zdecydowane skłonności w kierunku „przeżyć religijnych”, jego uczuciowość „skłonna była zawsze do silnych, wstrząsających całym jestestwem porывów” (II, 6). Tak najłatwiej: „Quare opium czynił usypiając?” „Quia est in eo siła usypiativa”. Szwejkowski łączy nawrócenie Prusa z gwałtownym wstrząsem psychicznym, jaki pisarz przeżył oglądając w r. 1887 zaćmienie słońca. Gdzieś na naj-dalszym planie dopiero Szwejkowski konstatuje, że równocześnie „na Zachodzie... — a potem i u nas — powstała zdecydowana reakcja związana z jakąś tęsknotą do poznania świata nadzmysłowego” (II, 21). Tymczasem tu właśnie, a nie w niesprawdzalnych rozstrząsaniach psychologicznych i nie w zaćmieniu słońca, znaleźć można istotne przyczyny nawrócenia Prusa.

Jeżeli weźmiemy do ręki choćby „Materializm i empirio-klasycyzm” będziemy zdumieni tożsamością punktów wyjściowych prof. Debickiego i — prof. Ernesta Macha. W „Mechanice” (1883) pisze Mach, że ciała są „kompleksami czuć”, że „nie przedmioty (ciała), lecz barwy, dźwięki, ciśnienia, prze-strzenie, czasy (to, co nazywamy zazwyczaj czuciami) są rzeczywistymi elementami świata”. „To, co nazywamy „naturą” jest sumą naszych czuć: wzrokowych, dotykowych, m-skularnych, słuchowych” — mówi Debicki. („Emancypantki”, wyd. 1948, t. IV, s. 263). Dowody? Posłuchajmy najpierw Macha: „Przed nami ciało z ostrzem. Kiedy dotykamy ostrza, doprowadzamy je do zetknięcia się z naszym ciałem, otrzymujemy ułkanie. Możemy widzieć ostrze, nie czując ułkania. Ale kiedy czujemy ułkanie, znajdujemy drogę. W taki sposób, widzialne ostrze jest stałym jądrem, a ułkanie czymś przypadkowym, co „zależnie od okoliczności, może być albo nie być związane z jądrem. Czy częstym powtarzaniem się analogicznych zjawisk ludzkie przyzwyczajają się wreszcie rozpatrywać wszystkie właściwości ciał, jako „dzia-

łania” wychodzące ze stałych takich jąder i wywierane na nasze Ja za pośrednictwem naszego ciała, — „działania”, które właśnie nazywamy „czuciami”. Debicki: „Człowiek... nieukształcony filozoficznie, mówiąc krótko: „kamień jest ciężki” wyobraża sobie, że głosi jakąś prawdę bezwarunkową, która istnieje poza nim. Lecz gdy powiemy: „Ja czuję, że kamień jest ciężki”, rozumiemy w tej samej chwili, że dla naszej wiedzy ciężkość kamienia nie jest żadnym objawieniem, ale tylko sformułowaniem stanu naszego czucia” (IV, 262—263). I u empiriokrytyków i u Prusa silnie podkreślony jest priorytet czucia nad elementami chemicznymi i pojęciem fizycznym. W „Poznaniu i pomyśle” Macha czytamy: „Podczas gdy nie jest żadną trudnością zbudować jakiegokolwiek fizyczny element z czuć tj. psychicznych elementów, — nie można sobie nawet wyobrazić, jakby można było przedstawić jakiegokolwiek prze-życie psychiczne z elementów używanych przez współczesną fizykę, tj. z mas i ruchów (w tej skostniałości — Starrheit — tych elementów, która dogodna jest dla tej specjalnej nauki)”. Debicki formułuje to oczywiście prościej i idzie dalej: „Jeżeli nie podobna dać ślepego pojęcia o tym, co znaczy kolor, choćby za pomocą najzawilszych kombinacji dźwięków, zapachów, dotykań, to jeszcze mniej podobna, za pomocą jakiegokolwiek ruchów nerwowych, jakiegokolwiek procesów fizycznych i chemicznych — objaśnić zjawisko czucia. Czucie odsłania przed nami cały świat, ale milion takich widzialnych i dotykalnych światów nie objaśni „czucia” (IV, 269).

Ale dość cytaty. Zestawiłem je, nie sugerując bynajmniej genetycznej zależności Prusa od Macha. Z góry zresztą można powiedzieć, że empiriokrytykom i Prusowi patronuje tu wspólny protoplasta Berkeley. Chodziło mi o co innego: o pokazanie związku „nawrócenia” starego pozytywisty z powszechnym nawrotem do idealizmu w filozofii europejskiej lat osiemdziesiątych XIX w., który z kolei łączył się z kryzysem teoretycznym na terenie nauk przyrodniczych. Przerzuciśmy raz jeszcze kartki „Emancypantek”. Prof. Debicki powołuje się tam m. in. na Joule’a, Meyera, Maxwella, Williama Thomsona (lorda Kelvina). Ze ów idealizm prowadził nieuchronnie do fideizmu — tę tezę leninowską egzemplifikuje tok wy-wodów Debickiego, w sposób bardzo dosadny. O ile zaś walka dwóch kierunków wyraża „w ostatecznym rachunku tendencję i ideologię antagonistycznych klas współczesnego społeczeństwa” (Lenin) — to wymaga konkretnego zbadania. Nie jest jednak przypadkiem, że triadę „ziemia, prosty człowiek i Bóg”, zapowiadającą się filozofie „Emancypantek” powitał z entuzjazmem przyszły ideolog Narodowej Demokracji J. L. Popławski (recenzja z „Lalki” w „Głosie”, 1890).

Wróćmy do monografii Szwejkowskiego. Twórczość Prusa analizuje on konsekwentnie według dwudzielnego schematu: w części pierwszej — zreferowanie poznawczej zawartości dzieła, w części drugiej — analiza utworu jako „przedmiotu artystycznego”.

Pozostawiam na uboczu tylekroć dyskutowaną sprawę czy takie izolowanie „treści” (Zygmunt Łempicki pisał kiedyś: „wycisnienie” z książki jak z cytryny”) i „formy” jest dopuszczalne. Ale cóż z tego, że Szwejkowski referuje nam dokładnie, jak Prus widział społeczeństwo polskie poprzez losy indywidualne swoich bohaterów, skoro nie wprowadza stąd żadnych wniosków o charakterze wartościującym? I jak już zaznaczyłem, wprowadzić nie może, bo nie interesuje się rzeczywistością historyczną, odzwierciedloną w dziele. Wprawdzie w charakterystykach ogólnych nieraz podkreśla typowość i prawdziwość postaci i sytuacji prusowskich, ale — w oparciu tylko o jego analizę — są to twierdzenia bez pokrycia.

Część druga to szczegółowa i pieczołowita analiza techniki pisarskiej Prusa, wzorowana na starym Dibeliusie. I tu jednak autor — czy w obawie przed „subiektywizmem” — jest bardzo wstrzemięźliwy w sądach wartościujących.

Stąd też pewna niewspółmierność między czysto opisową częścią analityczną a entuzjastycznymi, superlatywami charakterystyk końcowych poszczególnych powieści i całej twórczości Prusa. Narzędzia badawcze, jakimi się Szwejkowski posługuje wystarczają by pokazać ilościowe bogactwo opisanych przez Prusa zjawisk życiowych i stwierdzić nowość i różnorodność jego środków pisarskich. Nie udało się natomiast Szwejkowskiemu udowodnić ani poznawczej ani wychowawczej, ani wreszcie estetycznej wartości dzieł Prusa. Nie udało mu się ukazać jego wielkości. Znika ona w mnóstwie pieczołowicie nagromadzonych szczegółów. Szwejkowski bada Prusa przez mikroskop, a więc „kawałkami”, nie ogarnia aż do przedostatniej strony swej książki — całości omawianego przez siebie fenomenu „historyczno-literackiego”. Pomijam, że nie wyjaśnia ani genezy, ani funkcji społecznej twórczości Prusa: co wyrażała i czemu służyła. Czemu może dziś służyć. Pomijam to, bo odpowiedź na takie pytanie nie leżała w zamiarach autora monografii.

Henryk Markiewicz

*) Cytaty z Macha — według „Materializmu i empiriokrytycyzmu” Lenina, wyd. IMEL, 1945, s. 28, 30, 34.

MIECZYŚLAWA BUCZKOWNA

DOLINA POGODY

Trzeba z umiarem i godnością właściwą myślącym nie zatracać się w smutku o minione.

Jedynie wiedzący, jedynie umierający,

gdyż kwiat nie umiera ani zwierzę,

musimy stromym spadkiem dni

zejść w dolinę dojrzałej pogody.

Jest ona zamknięta w naszych oczach,

w myślach przesączonych przez odbicie zdarzeń,

w bólu zachowanym w pamięci,

jest ona w uniesieniu świętego głosu,

w ruchach rąk nauczyciela,

wycieczce dzieci z sierocińca.

Jednak niewielu śpiesząc się nawet

dobiegnie do krawędzi ludzkiej odwagi.

I tak każda skłonność, przechylenie

w bezinteresowne instytucje ładu

piękna zamierzonego

zastaże nas niezdolnych do wyrzeczeń,

do trudu przemilczanego potem.

Spokojnej mądrości źródło

ły ocaleń czasie przyjmijmy,

by się wielkie chwile sprzegły

w siłę oczu zawsze czystych,

w spokój głosów nieklamliwych,

w lepszą radość dni, co przyjdą.

O WIOŚNIE Z WYRZUTEM

Ani deszcz do rozwartej pragnieniem zieleni,

ani zmierzch uciśnający łagodnie,

ani ptak śpiewu gwałtownym strumieniem,

ani kwiat stygnący od nadmiaru piękna,

ani wzrok twój nawet wzbierający żalem

nie nie powstrzyma mojego głosu,

którym przemówią umarli:

Ta wiosna otwarta żywym

nie dotyka nawet nieistnienia,

nie potrafi strun milczenia

i brzęgu zastygłego cienia —

Pomyśl, pomyśl

w środku wzlatującej wiosny

jest taka cisza, jest taka zima,

której ręką nie dotknąć,

bo zatrzyma, oddech zmrozi

uwięzi martwym ramieniem.

Noc powagą pozbawioną troski

snem uwalnia od życia,

umiera pełna żywych godzin,

dniem wraca pozostałe życie.

O, noce wiosny — noce umierania.

*) Zygmunt Szwejkowski: „Twórczość Bolesława Prusa”. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań 1947, str. 313 i 3 nl. (I), 269 i 3 nl. (II).

*) ergocentryzm — metoda badawcza zajmująca się wyłącznie dziełem, a nie osobowością twórcy.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Czasopismo dla nauczycieli

Na zlecenie Ministerstwa Oświaty przy współpracy Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza od stycznia b. r. ukazują się kwartalne czasopismo dla nauczycieli „Polonistyka”. Jak nas informuje redakcja „Polonistyki” ma być „rzetelną informacją i skuteczną pomocą dla wszystkich nauczycieli języka ojczystego w szkołach różnych typów”.

Informacyjna strona pisma nie ogranicza się do podawania w dziale „Kroniki” faktów kulturalnych, szczególnie interesujących polonistów, ani też do „Oceny i sprawozdań”, gdzie mieszczą się omówienia niektórych pozycji wydawniczych (np. „Adam Mickiewicz” H. Szypera w oprac. J. Z. Jakubowskiego; „Czasopisma rosyjskie poświęcone sprawie nauczania języka i literatury” omówione przez E. Sawrymowicza). Postulat informacji i to informację instruuje, wychowawczą wypełnia przede wszystkim dział „Artykuły i rozprawy”. Zamieszczane w nim publikacje z zakresu literatury, z zagadnieniami teoretycznymi, literackimi, wprowadzającymi w nurt żywo dyskutowanych kwestii metodologii badań literackich oraz w ciekawy, rewizjonistyczny sposób omawiają poszczególne okresy historii literatury. Tak np. w Nr 1 Ewa Korzeniowska objaśnia główne zasady metody formalistycznej Ingardena i metody marksistowskiej w oparciu o „Teorię Literatury” — Timofiejewa (art. pt. Z zagadnień dzieła literackiego). W Nr 2 Jan Zygmunt Jakubowski omawia literaturę Młodej Polski ze stanowiska metody socjologicznej (art. pt. Materiały do dziejów Młodej Polski).

Funkcję pomocniczą spełnia pismo w dziale „Programy i praktyka szkolna” zawierającym szereg cennych materiałów do praktycznego zastosowania na lekcjach w szkole. Rozważania nad lekturą literatury współczesnej w szkole podstawowej i średniej czy przykładowa analiza nowej poezji zbliżają nauczyciela do zagadnień często dla niego nowych i nieprzyswojonych należycie, ułatwiając mu realizację współczesnych programów szkolnych.

Podobną rolę spełnia omawianie trudniejszych utworów literackich, opracowywanych w klasie, pryncypem charakteru tych omówień nie ma nic wspólnego z rygorystycznym szablonem, a jest raczej projektem otwierającym pole do dyskusji z zachętą do podawania własnych pomysłów. Redakcja pragnie bowiem aby lamy „Polonistyki” stały się „terenem najżywiejszej wymiany różnorodnych pomysłów i doświadczeń”.

„Polonistyka” stawia sobie wyraźny cel dydaktyczny. Przeznaczona dla nauczycieli szkół wszystkich typów pragnie stać się jeszcze jednym czynnikiem wpływającym na jednolitość programów nauczania, a przez to i na jednolitość szkoły. Pismo będzie docierać nie tylko do nauczycieli praktykujących, ale także do studentów polonistyki, którzy mają zamiar poświęcić się pracy pedagogicznej. Redakcja nawiązała kontakt ze studentami polonistyki U. Ł. otwierając lamy swego pisma dla zagadnień pedagogiczno-naukowych z jakimi stykają się młodzi poloniści w pracy przygotowawczej do przyszłego zawodu. Należy przypuszczać, że „Polonistyka” stawiając przed sobą szerokie i ambitne cele będzie wyrazem „zbiorowego wysiłku polonistycznego w służbie nowej, jednolitej szkoły”.

Dokument smutnych czasów

Książka Brzostowskiej „Bezrobotni Warszawy” jest świadectwem dużej wrażliwości społecznej autorki. Napisana za „sanacji”, jest dzisiaj dokumentem smutnych czasów, gdy klęska bezrobocia była zjawiskiem codziennym, wobec którego społeczeństwo pozostawało tak bezradne i nawet obojętne — jak wobec katastrofy żywiołowej. Brzostowska z głęboką szczerością uczucia woła SOS w imieniu człowieka, który ginął w tej katastrofie, którego już przestano dostrzegać poza przesłona „naturalności” i nieuniknionej fazowego zjawiska kryzysu. „Bezrobotni Warszawy”, to kilka opowiadań, związanych w powieść. Przedstawiają one przebieg i niepożorną historię utraty pracy, wykoślenia i — jak dyktowała szlachetna intencja autorki — uświadomienia klasowego jakiegoś zredukowanego ślusarza Franka, jakiegoś gruźlicznego dziewczyny Lucji — i ich przypadkowych towarzyszy z baraków na Annopolu.

Powieść Brzostowskiej nie posiada jednak tych wartości artystycznych, które by dzisiaj zajęły czy pociągły czytelnika. Ani akcja, ani postaci nie są kreśloną ręką wprawnego powieściopisarza. Poruszając sprawy dziś już na szczęście nie aktualne i minione — w sposób nie posiadający wybitnych zalet artystycznych — opowiadanie Brzostowskiej nie ma warunków, by stać się popularną lekturą.

Janina Preger

* Janina Brzostowska: Bezrobotni Warszawy, Cukrowski, 1947, str. 143 i 1 nl.

PRZEGLĄD PRASY

DOBRE SIĘ STAŁO, że Ksawery Pruszyński wybrał z tomu „Polska frazka mieszczańska” wydanego przez Polską Akademię Umiejętności, nieco szlacheckich wierszy i zamieścił je, zapatrząc krótkim wstępem, w 24 nr. „Odrodzenia”. Oto przynajmniej czyste źródło tej tradycji „miesza”, „krzepy”, „jurności”, której tak często nie dostaje naszej literaturze w pojęciu pewnych krytyków; choć według innych tego „surowca” jest za dużo. Podzielając poglądy tych ostatnich, wolę staropolską krzepę z pierwszej ręki i cieszę się ze świętego pomysłu Pruszyńskiego, który odważył się z uniwersyteckiego wydawnictwa wyciągnąć na światło dzienne kilkanaście frasek. Myślę, że gdyby Akademia zdecydowała się wydać te utwory z ilustracjami Maji Berezowskiej, to zapewne poważne wydawnictwo mogłoby być skalkulowane znacznie poniżej jego obecnej ceny (1.680), a także nakład byłby o wiele większy.

Popularyzacja literatury na łamach prasy codziennej — o tym pisałem już sto razy i gotów jestem pisać jeszcze sto, bowiem uważam to za rzecz pierwszorzędnej wagi. Nie należy ukrywać, że gdyby nie szkoły, ściślej, młodzież szkolna, to Mickiewicz, Słowacki i inni byłiby znacznie mniej czytani niż Dąbca — Mostowicz, Meissner i Fiedler. Smiem twierdzić, że klasyczna literatura polska nie jest znana społeczeństwu, a przyczyną tego jest wiele. Pierwszą przyczyną jest to, że prasa literacka chętniej zajmuje się literaturą bieżącą, drugą zaś — że gdy już pojawiają się jakieś artykuły o literaturze dawnej, to najczęściej odwołują się do lektury dzieł pisarza, którego dana praca omawia. Do wyjątków należą takie prace, które potrafią zbliżyć do poety, jak np. szkice Jastruna o Mickiewiczu lub essaye Mikulskiego o Niemcewiczu, Lenartowiczu. Książki, drukowane częściowo w czasopiśmie „Zeszyty wrocławskie”.

Zdawało by się, że właśnie dodatki do gazet mogłyby uprawiać taką popularyzację, oczywiście w innej skali i formie niż to czynią pisma literackie. Mogłaby to być kolum-

na wyjątków z pism danego autora, a pod nią rozsądny felieton, zawierający dane biograficzne i określający stanowisko pisarza. Do takiej pracy potrzebny jest inteligentny student-poloniści z drugiego czy trzeciego roku, któryby potrafił wybrać odpowiedni materiał i odszukać w encyklopedii czy w poczytnym Chmielewskim, to, co o pisarzu wiemy i potrzebna.

Okazuje się jednak, że moja usilna akcja w tym kierunku spotyka się z opinią nieprzychylną właśnie ze strony pism codziennych. Oto w nr. 149 wrocławskiego „Słowa Polskiego” czytamy gwałtowną obronę niskiego poziomu niektórych dodatków literackich do pism codziennych. Motywacją mojego przeciwnika jest następująca: „...prasa codzienna drukuje grafomańskie wierszyki, ale z tych grafomańskich wierszydek wykluwają się prawdziwe talenty”. To jest tylko demagogia. „Prasa codzienna drukuje grafomańskie wierszyki, nie mogąc sobie pozwolić na „płacenie słonych honorariów uznawanym poetyckim wielkościom” — to oczywiście znów jest demagogia, bo przede wszystkim możemy Panowie za darmo drukować Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Lenartowicza, Asnyka, Konopnicką etc. etc., podobnie jak możecie przedrukowywać Tuwima, Słonimskiego, Jastruna, Ważyka, Broniewskiego, płacąc za to nie słone, lecz uchwalone przez oba nasze związki honoraria. Piszę dalej mój przeciwnik, że dodatki literackie pism codziennych muszą być kroniką życia kulturalnego rejonu... Oczywiście, ale tylko tam, gdzie życie kulturalne istnieje, a nie tam, gdzie go nie ma. A wiadomo, że niestety, nie wszędzie ono istnieje. I tam właśnie, gdzie nie istnieje, powinno się je tworzyć, ale nie poprzez popieranie „grafomańskich wierszydek” tylko przez dawanie czytelnikom prawdziwej kultury, przez włączenie ich w kulturę ogólnonarodową.

Piszę wreszcie autor omawianego przeze mnie artykułu rzecz najsmutniejszą: „Prasa codzienna drukuje sentymentalne nowelki, bo — rzecz dziwna — czytelnik — właśnie ich się domaga”. Ale mnie się wydaje, że rola prasy w naszym kraju, polega właśnie na tym, by nie ulegać takim upodobaniom czytelniczym. Nie jest to żaden elitaryzm po prostu dlatego, że wszyscy bardzo dobrze wiemy, iż po pierwsze — siedem lat okupacji nie mogło dodatnio wpłynąć na kulturalne potrzeby szerokiego rzeszy czytelniczych, po drugie zaś — przeciętny czytelnik prasy codziennej, zwłaszcza na prowincji, dopiero niedawno awansował społecznie, co bynajmniej nie pociągnęło za sobą jeszcze awansu kulturalnego. Otoż w tym to właśnie kulturalnym awansie musi dziś pomóc mu prasa codzienna, gazeta, którą kupuje idąc lub wracając z fabryki, z biura, z urzędu. Ten awans nie nastąpi wcześniej, póki działając wszelkimi środkami propagandowymi nie wytrzebimy gustu do „grafomańskich wierszydek” i sentymentalnych nowelek i nie pokażemy ludziom drogi do prawdziwej, wysokiej kul-

tury ogólnonarodowej. Dopiero wtedy, dopiero po przyswojeniu sobie tej kultury, będzie mogła rozwijać się kultura „rejonów”, o którą tak walczą autor artykułu, zarzucając mi straszliwy grzech „centralizacji”. Sprawa upowszechnienia kultury nie może być załatwiona przez podsuniecie artystycznych i kulturalnych ersatzów tym, których nieświadomość obowiązuje do stokroć większej rozważliwości i przezorności w wyborze materiału do czytania, rozchodzącej się w setkach tysięcy egzemplarzy niż w układaniu treści miesięcznika czy nawet tygodnika literackiego, przeznaczonego dla czytelnika bardziej świadomego.

KORESPONDENCJA

Dalsze głosy w sprawie palestyńskiej

Nie mogę nie wyrazić mego głębokiego współczucia dla tragicznej walki narodu żydowskiego o byt polityczny i niepodległość państwową. Szczególnie jako Polak głęboko odczuwam ten wysiłek patriotyczny. Dzieje mojego narodu są wyrazem tej słusznej walki, którą ciągnęcej się przez pokolenia — walki o byt państwowy i nie kontrolowany i nie ograniczany przez innych rozwój. Rozumiem doskonale, że Żydzi mają takie same prawo jak inne narody i że słusznie walczą o zrzućcie nieznoszonego jarzma kontroli obcych mocarstw, zamaskowanej „mandatem”. Nie uznając tego oczywistego prawa uważałbym za obłądę, tak jak uważałbym za obłądę kwestionowanie prawa każdego innego narodu do niepodległości i całkowitej swobody rozstrzygnięcia o swym losie. Jest dla mnie jasne, że to święte prawo każdego narodu do prowadzenia samostanowienia bytu bez zawsze podejmowanej kontroli obcych mocarstw jest fundamentalnym prawem współżycia narodów, bez uznania którego życie międzynarodowe siłą rzeczy musiałoby się zmienić w brutalną przemoc silnych nad słabymi.

Żydzi, walcząc o to prawo, mogą we mnie wzbudzić tylko uczucie głębokiego współczucia i zrozumienia. Z tego powodu przyłączam się do dotychczasowych głosów w tej sprawie.

Wojciech Bąk

Tak się złożyło, że nie miałem sposobności przeczytania wypowiedzi Pawła Hertza w nr. 22 „Kuźnicy”. Dopiero z ostatniego opublikowanego u Panów listu Aleksandra Wata w sprawie bohaterskiej walki Izraela, dowiedziałem się o inicjatywie p. Hertza. Spieszę więc, ażeby dołączyć mój skromny głos do ich wystąpień. Wydaje mi się, że zwłaszcza nas katolików najżywiej musi obchodzić i wzruszać akt sprawiedliwości Bożej, która pozwoliła Narodowi Żydowskiemu odbudować własne państwo po 19 wiekach najstraszliwszych zmaganiach z przeciwnościami losu, po 19 wiekach tułaczki i bezmiarów udręczenia. Umysłnie przemierzam tu bestialstwa nazistowskie, które jakkolwiek z niczym nie dadzą się porównać, nie są w stanie przestonąć długich 2 tysięcy lat, znaczących nieprzerwanym pasmem krzywdy i poniewiek. Wskreszenie Izraela jest dla nas katolików sprawą par excellence moralną. W naszych oczach dokonuje się jakaś gigantyczna rekompensata dziejowa, jakieś historyczne wyrównanie, będące jakgdyby uwiecznieniem i triumfem wiary, nadziei i miłości. Te trzy cnoty najlepiej chyba charakteryzują istotę walki, której jesteśmy świadkami. Choć przemawiam tylko we własnym imieniu, nie wątpię, że wielu katolików polskich czuje i myśli podobnie. Każda inna postawa wydaje mi się niegodna wyznawcy i niegodna członka Narodu, który doświadczył co znaczy utrata Ojczyzny.

Nik Rostworowski

O materiały po zmarłych pisarzach

Przystępując do pracy nad powieścią monograficzną o Bolesławie Leśmianie (dla Państwowego Instytutu Wydawniczego, seria „Plutarcha Polskiego”), zwracam się za pośrednictwem „Kuźnicy” do wszystkich przyjaciół i znajomych poety z prośbą o powiadomienie mnie o wszelkich materiałach, dotyczących jego życia i twórczości, lub też bezpośrednio nadsyłanie ich pod adresem: Zw. Zaw. Literatów Polskich, Śniadeckich 10, Warszawa, na nazwisko niżej podpisanego.

Anatol Stern.

Uprzejmie proszę Pana o zamieszczenie w „Kuźnicy” następującego listu - anonusu w sprawie Brunona Schulza.

Proszę wszystkich, którzy bądź są w posiadaniu jakichś rękopisów (utworów literackich, listów itp.), lub rysunków Brunona Schulza, bądź też mogliby mi udzielić informacji, dotyczących jego osoby i twórczości — aby zechcieli powiadomić mnie o tym pod adresem: Włochy koło Warszawy, ul. Wielkie Łuki 19, m. 1. Materiały i informacje potrzebne mi są do opracowywanego przeze mnie studium o twórczości Brunona Schulza.

Z góry dziękuję i łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Jerzy Ficowski

Wszelkie spory w tych sprawach wydają mi się bezcelowe, bo rzecz jest oczywista i prosta. Koledzy dziennikarze, np. felietonista „Słowa Polskiego”, mówiąc o literatach i literaturze współczesnej, nie przestają używać takich słów jak: „słone honoraria”, „uznawane poetyckie wielkości”, „spizowe wielkości Parnasu”, „nadmiar dumy i snobizmu”, „złocjonizm” etc. etc. Dopóki ten demagogiczny ton nie zostanie porzucony, dopóty wszelkie próby porozumienia w tej sprawie, która powinna być równie ważna dla dziennikarzy, jak dla pisarzy, będą się kończyć niepowodzeniem.

ph.

W sprawie „Konkursu Ziemi Nyskiej”

Za pośrednictwem Pańskiego pisma pragnęmy podać do wiadomości, że jako członkowie jury zakładamy protest przeciw orzeczeniu Sądu Konkursowego Ziemi Nyskiej z dnia 29 maja 1948 r., które zapadło (za wyjątkiem drugiej nagrody) większością głosów. Wobec tego, że sposób ogłoszenia wyników Konkursu nie uwzględnił poczynionych zastrzeżeń, uważamy za konieczne złożyć następujące publiczne oświadczenie:

Nie rozważając wartości artystycznej prac nagrodzonych, musimy wziąć w obronę powieść „Ostatnia Gwiazda” (głoszą Podkowa) i „Poemat o Nysie” (głoszą Cień cienia). Prace te, którym Sąd Konkursowy odmówił nie tylko nagrody, ale nawet wyróżnienia, stanowią naszym zdaniem w skromnym plonie konkursu dzieła prawdziwej sztuki.

Powieść „Ostatnia gwiazda” jest artystyczną próbą zbeletryzowania historii Mikołaja II, księcia opolskiego, ujawnia samodzielną stosunek do źródeł i przedstawia własną strukturę językową. Cykl liryków „Poemat o Nysie” przynosi poetyckie spojrzenie na Nysę, którą wprowadza jako nowy temat do współczesnej poezji. Ponieważ koperty z gołdami zostały otwarte w czasie posiedzenia Sądu Konkursowego, ujawnione zostały nazwiska autorów prac niewyróżnionych. Wobec tego poczuwamy się do obowiązku stwierdzić, że autorem pracy „Ostatnia gwiazda” jest Wł. Bodnicki, autorem „Poematu o Nysie” Jan Sztudynger.

W okresie, kiedy kieruje się zewsząd apele literackie i społeczne do pisarzy, by podejmowali w twórczości zagadnienia Śląska i ziem odzyskanych, podobnie niesforobliwe wyeliminowanie z materiału konkursu dzieł literackich, spełniających warunki sztuki piśmarniczej i tematu, uważamy za dotyczący szczególnie przykry i nieoczekiwany.

Oświadczeniem tym chcemy bodaj w części wyrównać krzywdę, uczynioną autorom, których twórczość została zlekceważona.

Roman Lutman
Tadeusz Mikulski

Odbudowa wydawnictw encyklopedycznych

W numerze 21 Waszego pisma ukazała się notatka pt. „Zasługi wydawców”, wskazująca na braki naszego rynku w zakresie książek słownikowo-encyklopedycznych. W imię prawdy pragnę stwierdzić, iż sprawa ta jest troską nie tylko autora notatki, ale także i Państwowego Instytutu Wydawniczego. Pragnąc wypełnić tę fatalną lukę, Państwowy Instytut Wydawniczy wyodrębnił ostatnio w swoich ramach organizacyjnych samodzielną dział pod nazwą „Encyklopedia Polska”, którego zadaniem jest właśnie odbudowa wydawnictw słownikowo-encyklopedycznych.

Realizując swój zamiar Państwowy Instytut Wydawniczy wyszedł ze słusznego chyba założenia, że podjęcie i zreformowanie tych wydawnictw powinno być właśnie zadaniem wydawnictwa państwowego, gdyż ze względu na ich znaczenie wychowawcze i światopoglądowe powinny one być dostosowane do przemian, które w Polsce zaszły. Byłoby szkodliwym, gdyby wydawnictwa tego typu zdane zostały na flukta przypadkowości i chaosu wydawniczego.

Pod tym kątem widzenia idą prace nad Małą Encyklopedią Powszechną oraz nad Słownikiem Geograficznym Rzeczypospolitej Polskiej, o czym zresztą informowała „Kuźnica” w Nr. 19 w artykule pt. „Piękny plan wydawniczy”. Poza tym mamy wiele jeszcze rzeczy zamierzonych i zaplanowanych. W każdym bądź razie pracujemy już i rozszerzając się zespół Encyklopedii Polskiej ma pełną świadomość ciężkości na nim zadan i wielkiej odpowiedzialności za podjętą pracę.

Liczmy przy tym na poparcie i współpracę tych wszystkich licznych ludzi w Polsce, którzy powinni oddać część swojego wysiłku dla pracy nad wydawnictwami encyklopedycznymi. Mam tutaj na myśli także między innymi i ludzi „Kuźnicy”.

Przesyłam Wam najlepsze pozdrowienia
Dyrektor Działu „Encyklopedia Polska”
Zbigniew Mitzner

SPROSTOWANIE

W poprzednim (25) n-rze „Kuźnicy” w przekładzie artykułu Johna Steinbecka pt. „Notatki z podróży po Związku Radzieckim” w 3 szpalcie wiersz 11 od dołu zdanie zaczyna się od słów „Nazwaliśmy ją potem...” winno mieć brzmienie „Nazwaliśmy ją potem Szweczenko Numer Jeden, bo jak się okazało i inne, które zwiedzialiśmy później, były ochrzczone nazwiskiem ulubionego poety ukraińskiego”.



JAKIŚ DZIWNY CZŁOWIEK

„Kuznica” zawsze sprzeciwiała się próbom rozgrzeszenia kolaboracji. Wbrew sugestiom, które usiłowano narzucić Związkowi Literatów, na łamach „Kuznicy” Jan Kott i Adam Wazyk występowali w obronie uprawnień Związków Zawodowych do stosowania kryteriów właściwych danemu zawodowi artystycznemu. Związek artystyczny ze stanowiska etyki zawodowej może nie przyjąć, nie zweryfikować osoby, której postępowanie podczas okupacji nie podpada pod oskarżenie według ogólnych norm prawnych. Ale trudno sobie wyobrazić, aby w społeczeństwie, w którym obowiązują jakieś powszechne normy etyczne, artysta po weryfikacji i po zbadaaniu jego aktów przez Prokuraturę miał być ciągle jeszcze narażony na oskarżenia i szykany, plotki i niesprawdzone słuchy, utrudniające mu normalną pracę.

Związek Artystów Scen Polskich przy weryfikacji swoich członków miał bardzo trudne i skomplikowane zadanie. Po pierwsze dlatego, że wytworzyła się podczas okupacji niezmienna różnorodność losów poszczególnych artystów i każdy wypadek wymagał skrupulatnego badania. Po wtóre, dlatego, że nagromadziły się plotki, słuchy, podejrzenia, utrudniające orientację. Okazało się, że weryfikacja nie rozproszyła tej atmosfery i w wielu wypadkach pozostał osad nieufności. Dobrze się stało, że Pełnomocnik do spraw kolaboracji wjechał w akta weryfikacyjne i wyciągnął z nich wnioski. W połowie marca Prokuratura odesłała do ZASP-u akta weryfikacyjne osób, które nie podlegają oskarżeniu, między innymi akta Adolfa Dymyzy. Opierając się na tym fakcie kilku literatów, wielbieli talentu Adolfa Dymyzy, zabralo głos w „Dzienniku Literackim”, „Kuznicy” i „Odrodzeniu”, nawołując do otwarcia przed Dymszą wielkiej sceny, drogi do ról odpowiadających jego niespospolitemu talentowi. Zdawało się, że obecnie sprawa jest prosta i jasna. Sprawa jest rzeczywiście jasna, tylko nie dla tych, którzy wolą wieczną mgłę.

List literatów wywołał atak furii u pewnego obywatela, który korzystając z gościnności „Życia Warszawy”, wprowadził w błąd Redakcję. Nie wiem, kto to jest obywatel Jacek Wołowski, ale musi to być jakiś dziwny człowiek. Ten dziwny człowiek sądzi, że wystarczy powoływać się na martyrologię narodu i pisać pewne słowa z dużej litery, a można sobie spokojnie rzucić na upatrzoną ofiarę habibacje, ale ogólnikowe, pozbawione konkretnej treści oskarżenia. Ten dziwny człowiek nie zastanowił się, że jeżeli literaci znani z nieprzejednanej postawy wobec kolaboracji domagają się zaprzestania szykan pod adresem artysty, to chyba operują się na konkretnym fakcie uznania jego weryfikacji przez organy sądowe. Ten dziwny człowiek, zamiast wziąć słuchawkę i zatelefonować do ZASP-u, albo pofatygować się do Prokuratury, jak przystałoby dziennikarzowi z prawdziwego zdarzenia, woli rozgłaszać niesprawdzone wiadomości, opatrzone tylko wykrzyknikiem: „Jak nam wiadomo...”. Otóż „jak im wiadomo” materiały dotyczące Adolfa Dymyzy znajdują się jeszcze w tej chwili w Prokuraturze i Adolf Dymyza ma stanąć przed sądem. Ten dziwny człowiek, Jacek Wołowski, który nie dba o fakty, nie lubi zbierać informacji i woli brać swoje urojenia za rzeczywistość, zapytuje literatów, czy przypadkiem nie próbują wyręczyć Sądu Rzeczypospolitej. Dziwny człowiek, Jacek Wołowski. Niektóre pytania są jak bumerang. Kto wie, próbuje wyręczyć Sąd Rzeczypospolitej? Dziwny człowiek, który miotasz gromy. Niektóre gromy są jak bumerang. Długo wędrują ale trafiają gdzie trzeba. Bo tak się tęczy świat. Ja, Kandyd, jestem cierpliwy, ale nie lubię dziwności. Wiem, że każda dziwność w końcu tłumaczy się racjonalnie.

Drogi mój kolega Ryszard Matuszewski, dziwi się dlaczego koleśdy literaci, piszą, że nie jest im bliżej znana intencja nastawiana Adolfa Dymyzy po weryfikacji. Ja również tej intencji nie znam, niestety. Nie wiem nawet w jakiej intencji ten dziwny Jacek Wołowski chce mi dać do zrozumienia, że kłedy literaci biorą w obronę człowieka oczernionego, to okazywał brak charakteru. Natomiast pluć gesty i na chybił trafił — to prawdziwa miara charakteru. Żaluję bardzo, ale doprawdy nie znam intencji. Nie wiem po co tyle hałasu robi ten dziwny człowiek i kogo chce nastraszyć, ale wiem, że się tym razem zagalopował: chciał nastraszyć literatów, którzy nie a nie się nie boją ani jego inwektyw ani jego liczby mnogie. Bo wypisując swoje widzi mi się, stale używa liczby mnogie dla dodania sobie powagi: „Jak nam wiadomo...”. Więc zapytujemy literatów: „Na to pytanie oczekujemy odpowiedzi”...

Pomyślałby kto, że ten dziwny człowiek, oprócz siebie reprezentuje kogoś jeszcze. Ja tak nie myślę. W każdym razie nie zostało to dotąd ujawnione. Tylko proszę bardzo nie podawać się za pełnomocnika społeczeństwa, Narodu itp. Na to trzeba mieć trochę więcej zasług poza wątpliwą zasługą rozpoznawania niesprawdzonych wiadomości Sądzie Rzeczypospolitej.

Kandyd

Jak andersowcy obchodzą się z Mickiewiczem

Z listu czytelnicki umieszczonego w londyńskim „Orle Białym” z dnia 22. 5. br.: „Z krótkiego wstępu dowiadujemy się, że na podstawie niedawno wydanego przez T. Terleckiego wyboru publicystyki Adama Mickiewicza p. Stanisław Klinga pozwolił sobie na pewien eksperyment. Wybrał fragmenty i zdania z różnych artykułów wiążące je w logiczną całość. Gdzieś niegdyś zostały wstawione słowa łączące zdania, ponadto poglądy Mickiewicza pan Klinga przystosował do naszych czasów przez zmianę Mikołaja na Stalina, Wiednia na Jaitę itd. Słowa wstawione lub zmienne są wydrukowane tłustym drukiem. P. Klinga nie odczuwał żadnego skrupułu dokonując swego eksperymentu. Z tekstów obejmujących 127 stron druku zlepił artykuł 500 wierszowy, oberwał niektóre zdania w połowie i dopełnił fragmentami innych, złączył w jeden ciąg urywki z „Pielgrzymką” z tekstami z „Trybuny Ludów”, pisma z 1833 r. z pismami z 1849 r. Francja jest teraz Ameryką, to znów światem, republikanie francuscy są przerobieni w polityków amerykańskich, wszystko co moskiewskie — sowieckie itd.”



Autorka listu protestuje przeciwko tego rodzaju eksperymentom. Dla nas tego rodzaju praktyki dokonywane przez obóz wsteczniczy nie są wcale nowością. Za czasów sanacyjnych w Polsce przemierzano w ogóle okres działalności Mickiewicza, w którym występował on jako obrońca i szermierz idei postępowych. Czy ktoś z wychowanków szkół Polski 20-lecia wiedział coś o Mickiewiczu z okresu „Wiosny Ludów” i jego działalności w „Trybunie Ludów”? Teraz, po drugiej wojnie światowej metody fałszerstw i ordynarnych łgarstw zostały udoskonalone, jako że w całej reakcji międzynarodowej patronuje duch opastego Goebelsa, od którego czerpią natchnienie londyńscy majsterkowie od propagandy. Koński zastrzyk jakim uraczyli andersowcy swoje, potulne owieczki okazał się jednak za silny, o czym świadczy niniejszy list w „Orle Białym”.

Ksawery Probolowski

Klauzule morskie

Ostatnio rząd de Gasperi'ego otrzymał z Waszyngtonu gwarancję, że Stany Zjednoczone przeciwstawiają się wykonaniu klauzul morskich traktatu pokojowego, na mocy których Włochy winny przekazać Związkowi Radzieckiemu pewną ilość jednostek swej floty wojennej tytułem odszkodowań. „W kółach zbliżonych do ambasady amerykańskiej w Rzymie mówi się bez ogródek, że Stany Zjednoczone chętniej widziałyby stopedowanie wchodzących w rachubę jednostek morskich, niż wydanie ich Rosji Sowieckiej. Oświadcza się jednak, że ewentualność zastosowania środków tak kracichowych nie jest



brana poważnie pod uwagę, gdyż Stany Zjednoczone z tytułu swej „opieki” nad Włochami rozporządzają dostateczną ilością innych środków zaradczych, dzięki którym da się ominiąć wykonanie powstałych na mocy traktatu pokojowego zobowiązań Włoch w stosunku do Rosji Sowieckiej, jeśli chodzi o klauzule morskie.

Oto państwo, które tak dużo mówi o dotrzymaniu podpisanych zobowiązań, obchodzi się z traktatami pokojowymi jak ze zwykłym świstkiem papieru.

Ekskomunikacja

Dnia 10 kwietnia r.b. odbył się w Szekesfehrer na Węgrzech zjazd chiłpski. Mieszkańcy gminy Bakonykut wzięli w nim udział, przybywszy na miejsce niejako pod wodzą swego proboszcza obrządku katolickiego, księdza Denes'a Szyttijay. Z ramienia władz państwowych przybył na zjazd Laszlo Rajk, minister spraw wewnętrznych i członek węgierskiej partii komunistycznej.

Ksiądz z Bakonykut wygłosił na zjeździe przemówienie powitalne, w którym dał wyraz radości z powodu przybycia przedstawicieli państwowego w osobie ministra spraw zagranicznych. Inic więcej, nieprawomyślnego nie powiedział aczkolwiek był znany w swej okolicy jako zwolennik poprawnego współżycia z komunistami. Sam należał do partii narodowo-chłopskiej.



Po zjeździe biskup diecezji Fehervarvar, któremu podlegał proboszcz z Bakonykut, rzucił na niego uroczystą ekskomunikę, powołując się na artykuły 2314—2317 prawa kanonicznego. Artykuły te mówią o sankcjach przeciw odszczepieństwu kościoła drogą głoszenia pojęć heretyckich.

Ciekawe, dlaczego ten biskup nie rzucił swoich uroczystych ekskomunik za czasów okupacji hitlerowskiej, gdy nie tylko pojęcia, ale i czyny ludzkie dostarczały mu do tego niebywałych okazji?

Zasługi wydawców

Nareszcie została ogłoszona przez „Czytelnika” subskrypcja na wydanie zbiorowe Adama Mickiewicza. Pierwsza seria tej edycji (cztery tomy) ukaże się w listopadzie i będzie obejmowała utwory poetyckie. Na uwagę zasługują niska cena całości. Tom wydania będzie kosztował w przedpłacie zł 200. Jest to osiągnięcie, niemałe. Jednocześnie pragnę tu przypomnieć, że nieukończony niestety wydanie sejmowe dzieł Mickiewicza ukazało się w dwadzieścia lat po uchwale. Wydanie narodowe podjęte przez „Czytelnika” ukaże się w trzy lata od chwili gdy pierwsza polska drukarnia ruszyła w Lublinie.



Ukazały się już afisze „Książki” zapowiadające pełne wydanie dzieł Prusa w opracowaniu Zygmunta Szwejkowskiego. „Książka” również w „Bibliotece pisarzy polskich” wydała ostatnio tomik Berwińskiego i Goszczyńskiego „Pisma rewolucyjne” oraz „Wybór poezji” Adama Asnyka.

Akademia Umiejętności, o czym wiedza pewnie tylko nieliczni, wydawała przed wojną zabytki literatury polskiej. Obecnie to wydawnictwo o niezwykle doniosłym znaczeniu, ukazuje się na nowo. Pierwszym, jeśli się nie myli, tomem tej edycji jest obszerna antologia „Polskiej fraszki mieszczańskiej”, opracowana i wydana przez doskonałego znawcę przedmiotu, prof. Bańkiewicza.

Sprawa weryfikacji członków ZASPu

List literatów w sprawie Adolfa Dymyzy wywołał liczne zapytania czytelników o procedurę weryfikacyjną. W związku z tym wyjaśniamy, że od chwili wywołania kraju Związek Artystów Scen Polskich, podobnie jak inne związki artystyczne, przeprowadzał weryfikację swoich członków i wydawał odpowiednie orzeczenia w zakresie ich pracy zawodowej. Przed kilku miesiącami Pełnomocnik Rządu do spraw kolaboracji zwrócił się do ZASP-u o akta weryfikacyjne. W posiadaniu redakcji „Kuznicy” znajduje się list Zarządu Głównego ZASP-u, który komunikuje:

„Wyjaśniamy uprzejmie, że akta weryfikacyjne kol. Adolfa Dymyzy były wydane w lutym br. Prokuraturze Sądu Okręgowego w Warszawie do wglądu i 18 marca br. zostały zwrócone razem z aktami innych członków ZASP-u w stosunku do których Prokuratura nie znalazła podstaw do rozpoczęcia dochodzenia karnego”.

Od tego czasu żadne nowe okoliczności nie weszły.

We Francji o Polsce

Pisma francuskie z ostatnich miesięcy wykazują nadal duże zainteresowanie Polską, jej kulturą i związanymi z jej życiem problemami.

„Les Lettres Françaises” z 1 kwietnia w rubryce „Życie intelektualne w Polsce” omawiają liczne przekłady literatury francuskiej wydane przez „Wiedzę”, nie pomijając również innych wydarzeń kulturalnych, jak odkrycie cennych zabytków malarskich i architektonicznych w kościele klasztoru Cystersów pod Krakowem i otwarcie w Łodzi filii warszawskiego Instytutu Francuskiego.

Tygodnik „Action” z 7—13 kwietnia zamieszcza „List z Warszawy” jednego ze swych korespondentów. „Polska dzisiejsza — pisze on — nie jest źródłem sensacyjnych wiadomości dla dziennikarzy zagranicznych, szukających za „żelazną kurtyną” tematu do wytluszczenia tytułów w swych pismach”. To, co jest najbardziej żywotne we współczesnej Polsce i co absorbuje umysły, to problemy odbudowy i reform społecznych, realizacji planu i osiągnięć ekonomicznych. Drugim aspektem metamorfozy, jakiej uległa Polska współczesna, jest wielkie zainteresowanie mas pracujących literaturą, sztuką i teatrem. Autor listu wspomina również o utworzeniu organizacji młodzieżowej „Służba Polsce” z pełnym uznaniem dla tego przedsięwzięcia. Entuzjazmuje się wreszcie wielkim zainteresowaniem Francją i szeroką znajomością jej kultury wśród Polaków, z którymi miał okazję rozmawiać.

„Les Lettres Françaises” z 6 maja zamieszcza przekład francuski noweli Jarosława Iwaszkiewicza „Nowa Miłość”, a tygodnik „Beaux-Arts” z 21 maja całą kolumnę poświęca sztuce w Polsce. Na wstępie znajdujemy obszerną wypowiedź Leona Schillera o Teatrze Polskim i jego ewolucji, poczynając od okresu międzywojennego aż do chwili obecnej, zatytułowaną: „Teatr. Polityka — oto wyznacznik wiary wielkiego inscenizatora Leona Schillera”.

Georges Pillemeht, opisując bogactwa architektoniczne Wrocławia, które oglądał podczas wizyty w tym mieście, dochodzi do ważnych konkluzji, iż sztuka na Ziemiach Odzyskanych jest pochodzenia słowiańskiego z późniejszymi jedynie naleciałościami germańskimi podczas czterech wieków panowania niemieckiego.

Znajdujemy także opis powstania i pracy nowego Instytutu Sztuki Dekoracyjnej w Sopocie.

W artykule zatytułowanym „Kilka aspektów życia kulturalnego” poruszona została sprawa demokratyzacji kultury polskiej przede wszystkim za pomocą szkoły i mnożących się bibliotek i nieubłaganej walki z odziedziczonym po poprzednich rządach analfabetyzmem. Tworząca się tam kultura narodowa — czytamy przy końcu artykułu — nie odrzucając dawnych wartości, wzbogaca się nowymi.

Obok szkicu orientacyjnego przeżycia artystycznego w Polsce i jego osiągnięć znajdujemy również szereg wiadomości muzycznych i artykuł Stanisława Kisielewskiego o twórczości Szymanowskiego. Znajdujemy również fotografie kolumn romańskich, rzeźbionych w sposób francuski, które zostały odkryte w Strzelnie wskutek bombardowania wojennego.

„Les Lettres Françaises” z 27 maja pisząc o tej poświęconej sztuce polskiej stronce „Beaux-Arts” stwierdzają, że jest ona niezwykle zajmująca.

im

KSIAŻKI NADEŚLANE

- Marks K. i Engels F. — Manifest Komunistyczny (Biblioteka Książek Marksizmu), wydanie polskie XVII, Spółdz. Wyd. „Książka”, W-wa, str. 112, zł 80.
- Morton Józef — Klucz Bożej Klementyny, nowela, Okładka K. Rydzickiego, Spółdz. Wyd. „Książka”, W-wa, 1948, str. 142, zł 200.
- Prus Bolesław — Pierwsze opowiadania (Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 33 pod redakcją K. Budzkiego), Opracował Z. Szwejkowski, Spółdzielnia Wyd. „Książka”, W-wa, 1948, str. 296 + XII, zł 280.
- Witkiewicz Stanisław — Na przelocie (Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 32 pod red. K. Budzkiego), Opracował Cz. Kozioł, Spółdz. Wyd. „Książka”, W-wa 1948, str. 238 + XIV, zł 200.
- Maria Kuźmińska — Krwawo pisane (Poezje), Nakł. „Oficyny Księgarskiej”, Skład Główny, Warszawa 1948, str. 72.
- Juliusz Słowacki — Kordian — oprac. Józef Ujejski — Wyd. Zakładu Naukowego im. Ossolińskich, Wrocław 1948, str. 127.
- Alojzy Felicki — Barbara Radziwiłłówna — oprac. Marian Szykowski, wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1948, str. 98.
- Franciszek Fałt — Zestrzelony — Wyd. „Prasa Wojskowa” W-wa 1948, str. 216.
- Antologia walki — oprac. Jerzy Lau, W-wa, „Prasa Wojskowa”, Warszawa 1948, str. 227.
- Prawda o żołnierzach batalionów chiłpskich — Wyd. NKW Stronictwa Ludowego W-wa 1948, str. 242.
- Józef Ignacy Kraszewski — Pod blachą — Spółdz. Wyd. „Czytelnik” 1948, Warszawa t. I, II, III, str. 327.
- Stefan Żeromski — Promień — Spółdz. Wyd. „Czytelnik” Warszawa 1948, str. 150.
- Stefan Żeromski — Nawracanie Judasza, Spółdz. Wyd. „Czytelnik” Warszawa 1948, str. 310.
- Albert Maltz — Te trzy dni — Część II i III, Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”, W-wa 1948, str. 63.
- Irena Jurgielewiczowa — Historia o czterech pstróżkach, Spółdz. Wyd. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 169.
- Karol Dickens — Opowieść o dwóch miastach — Spółdz. Wyd. „Wiedza”, W-wa 1948, str. 476.
- Maria Kuncewiczowa — Cudzoziemka — Spółdz. Wyd. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 242.
- Władysław Broniewski — Wiersze zebrane, Spółdz. Wyd. „Wiedza” Warszawa 1948, str. 237.
- Tadeusz Borowski — Pożegnanie z Marią — Opowiadania, Spółdz. Wyd. „Wiedza”, Warszawa, 1948 str. 178.

Redaguje: Zespół „Kuznicy”. Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻOLKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 95. — Telefon 205-42.

CENA OGŁOSZEN: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie: zł 80.—; kwartalnie: zł 240.—; półrocznie: zł 480.—; rocznie: zł 960.—.

Należność za prenumeratę należy wpłacać do P.K.O. konto VII-567 „Prenumerata Kuznicy”.

D-626166 • Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, zwirki 2.